

NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata kosztuje:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 2 Rbs. Półrocznie 8 kor. 8 Mrk. — 4 Rbs. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 8 Rbs.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKOW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.
Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Numer pojedynczy kosztuje 16 centów (32 halerzy).

Rok II. | Kraków, 21 października 1905 r. | Nr. 43.

Katastrofa na Dunaju.

(Do artykułu na stronie 2).



Numer ten zawiera 24 stronic druku.



Fot. W. Gargul. Bochnia.
Bursa gimnazyalna im. Mickiewicza w Bochni: Grupa wychowanków Bursy z ks. prefektem Nalepą.

Katastrofa na Dunaju.

(Do illustracyi tytułowej).

Przyczyną najwiekszych nawet nieszczęść, bywają zazwyczaj drobne okoliczności, na pozór mało znaczące. Lada nieostrożność, świadome lub mimowolne zaniedbanie pewnych środków ostrożności, stają się nieraz powodem katastrofy, której ofiarą pada mnóstwo ludzi. Jaskrawym przykładem tego, jest katastrota na Dunaju, jaka miała miejsce w ubiegłym tygodniu.

Jak wiadomo, spławiają do Budapesztu Dunajem z głębi Węgier na galarach wielką ilość owoców, zwłaszcza śliwek. Przy końcu września Dunaj na całej przestrzeni, od południowych Węgier do Budapesztu, zasłany jest prawie galarami napełnionymi najrozmaitszego rodzaju owocami. Galary te są specyalnie w tym celu zbudowane. Otóż na taki galar, noszący nazwę „Feri", najechał w nocy w ubiegłym tygodniu parowy holowiec „Aluta". Z powodu panujących ciemności, na razie na „Alucie" nikt nie wiedział co się stało. Naraz rozległy się ze wszystkich stron przeraźliwe jęki i rozpaczliwe wołania o pomoc. Kapitan „Aluty" Ludwik Porsass. okazał się jednak na tyle nieludzkim i okrutnym, że nawet domyśliwszy się katastrofy, nie zatrzymał parowca, aby pospieszyć z pomocą nieszczęśliwym rozbitkom z galaru, których było przeszło 40 osób, między nimi kobiety i dzieci, ale popłynął dalej. To było przyczyną, że z wszystkich osób płynących na galarze, zaledwie trzy własnemi siłami się uratowały. Reszta utonęła.

Główną przyczyną kastrofy, której ofiarą padło 30 przeszło ludzi, była rozmyślna, czy też mimowolna nieostrożność kapitana „Aluty". Jak bowiem zeznają świadkowie, „Aluta" płynęła zupełnie bez światła, tego najgłówniejszego sygnału ostrzegawczego, co jest grubem wykroczeniem przeciw prawu bezpieczeństwa żeglugi rzecznej. Kapitana Porsassa i całą załogę aresztowano i oddano do sądu budapeszteńskiego. .

Illustracya, zamieszczona na tytułowej stronie dzisiejszego numeru, przedstawia straszną chwilę. kiedy „Aluta" najeżdża na galar.

Bursa gimnazyalna imienia Mickiewicza w Bochni.

Wśród młodzieży gimnazyalnej pokaźny zastęp stanowią dzisiaj uczniowie ubodzy, którzy nieraz o głodzie i chłodzie przebijają się przez całe gimnazyum, parci niepohamowaną żądzą wiedzy. Nawiasem trzeba dodać, że ta właśnie część młodzieży stanowi kwiat uczniów gimnazyalnych, najlepsi bowiem uczniowie, to są młodzieńcy ubodzy, którzy siły swoje muszą zużywać oprócz nauki szkolnej na lekcye, marnując zdrowie i czas, który właściwie przecie do nauki ich samych jest przeznaczony. Aby więc tym biedakom przyjść z pomocą, budują zacni filantropi, przyjaciele młodzieży, czy to własnym sumptem, czy to ze składek publicznych przez nich inicyowanych, tak zwane bursy, czyli zakłady, w których ubodzy a dobrze się uczący młodzieńcy otrzymują bezpłatnie albo też za bardzo miernem wynagrodzeniem mieszkanie i skromne utrzymanie.



Fot. M. Gargul. Bochnia,
Bursa gimnazyalna im. Mickiewicza w Bochni: Mowa ucznia VII kl. gimn. Majki, podczas uroczystości odsłonięcia i poświęcenia tablicy pamiątkowej.

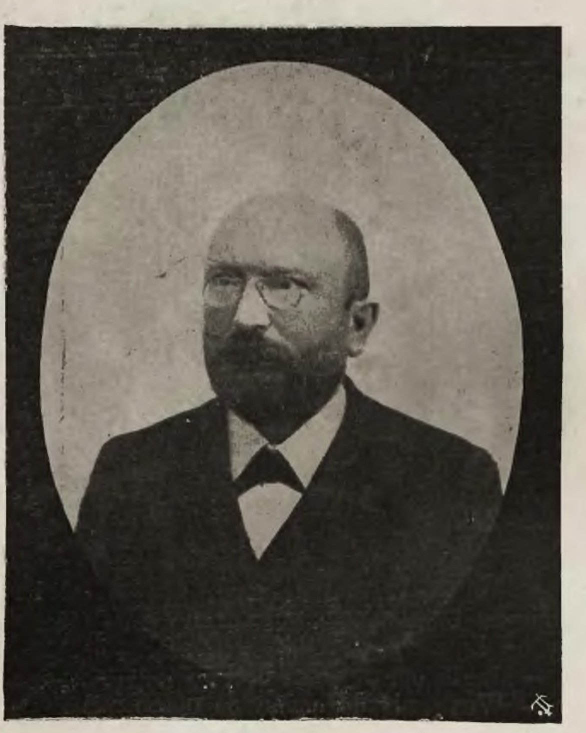
Taka bursa powstała w zeszłym roku w Bochni. Instytucya ta, mieszcząca obecnie 43 wychowanków, przeważnie synów włościan, zawdzięcza swoje powstanie ś. p. Michałowi Żułkiewiczowi, dyrektorowi gimnazyum bocheńskiego. Ś. p. Żułkiewicz potrafił z małych początków, przy współudziale Towarzystwa Bursy gimnazyalnej oraz z pomocą ś. p. prof. Ignacego Serwina i radnego miasta p. Alfreda Weissa, znanego chlubnie ze swej obywatelskiej działalności aptekarza bocheńskiego, zebrać w przeciągu 7 lat kapitał, potrzebny do wybudowania bursy, która w ubiegłym roku została otwarta i poświęcona. Jego to energii i poświęceniu zawdzięcza Bochnia gmach bursy, która jest chlubą dla całej ziemi bocheńskiej. Nie długo jednak ś. p. Żułkiewicz cieszył się widokiem owoców swej pracy. Śmierć zamknęła mu bowiem powieki w parę tygodni po otwarciu bursy, będącej chlubnym pomnikiem działalności pedagogicznej szanowanego powszechnie dyrektora.

Wydział Towarzystwa bursy, chcąc uczcić pamięć twórcy tego pożytecznego ze wszech miar zakładu, założył fundusz żelazny imienia Michała Żułkiewicza i postanowił na gmachu bursy umieścić tablicę pamiątkową na cześć ś. p. Żułkiewicza, pierwszego dyrektora bursy imienia Mickiewicza, przez niego wzniesionej. Odsłonięcie i poświęcenie tablicy, wykonanej przez p. Samka, rzeźbiarza w Bochni, odbyło się 26 września b. r. Po nabożeństwie żałobnem za duszę ś. p. Żułkiewicza zebrali się na dziedzińcu bursy profesorowie, uczniowie i mnóstwo publiczności. Burmistrz miasta p. dr. Meis podniósł w pięknej przemowie zasługi ś. p. Żułkiewicza i odsłonił tablicę, którą po poświęceniu odebrał w opiekę prefekt bursy ks. Nalepa. Przemawiał jeszcze uczeń VII. klasy Majka imieniem wychowanków bursy, poczem zgromadzeni odśpiewali „Serdeczna matko“.

Grupa polska na międzynarodowym kongresie anty-alkoholicznym w Budapeszcie.

Ruch abstynencki, propagujący zupełną wstrzemięźliwość od trunków alkoholicznych, wzrasta i u nas w Polsce we wszystkich trzech zaborach i za granicą bardzo znacznie. Nie miejsce tu podnosić dobroczynne, zbawienne wprost następstwa tego ruchu, nie miejsce wskazywać na straszne, zgubne skutki pijaństwa a choćby i miernego picia napojów alkoholicznych. I jedne i drugie znane są nam — mieszkańcom kraju nędzy, Galicyi, aż nadto dobrze. To też z żywą radością i uznaniem winno społeczeństwo witać każde nowo zawiązujące się w kraju koło „Eleuteryi“, czy „Trzeźwości“, jako ognisko szlachetnej i pożytecznej działalności społecznej.

Abstynenci polscy bardzo dobrze zrobili, że licznym udziałem w X. między-narodowym kongresie przeciw alkoholizmowi w Budapeszcie, zamanifestowali swoje istnienie i swą działalność. Kongres ten, jak miadomo, odbył się w dniach od 10 do 16 września. Wzięło w nim udział około 1000 osób z całego prawie świata. Znacznego kontyngentu uczestników, prócz Węgrów, dostarczyli Niemcy, Szwedzi, Francuzi, Anglicy, nie brakło nawet i Japończyka p. Ogawa, który z zajęciem przysłuchiwał się obradom; obrady te toczyły się w języku niemieckim i francuskim.



Bursa gimnazyalna im. Mickiewicza w Bochni: Ś. p. Michał Żułkiewicz, były dyrektor gimnazyum bocheńskiego i założyciel bursy.

Polaków było około 30 osób ze wszystkich trzech zaborów. Zdjęcie fotograficzne grupy polskiej podajemy obok. Wpośrodku tej grupy znajduje się wyjątkowo jedna Finlandka, profesorowa Heleniusowa z Helsingfors (1.) Widzimy tam dalej wybitniejszych działaczy na polu zwalczania alkoholizmu, a więc z Poznańskiego, księży: Niesiołowskiego (2) i Mrugasa (3), ze Lwowa członków „Eleuteryi“: księcia G. Gedroycia (4), Niedzielskiego, Wł. Tepę i innych, z Krakowa: dr. Wróblewskiego, redaktora „Przyszłości“, Szczęsnego Turowskiego, reprezentanta „Eleusis“ (5), Mauricia i t. d. Byli też wśród uczestników kongresu prócz kobiet polskich przedstawiciele polskiej młodzieży akademickiej.

Udział grupy polskiej w kongresie nie ograniczył się na przysłuchiwaniu się obradom, lecz zaznaczył się kilku referentami n. p. ks. Gedroycia „o ruchu abstynenckim w Polsce“, lub dr. Zofii Daszyńskiej-Golińskiej „o zastosowaniu alkoholu w przemyśle w celu zwalczania alkoholizmu“, oraz żywą pracą w komisyach i w dyskusyach.

Rabin Schmelkes.

Zmarł we Lwowie w ubiegłym tygodniu ortodoksyjny rabin Schmelkes, człowiek w całem mieście, zwłaszcza wśród ludności żydowskiej, ogromnie popularny. Nic dziwnego też, że pogrzeb zmarłego cadyka, mimo fatalnej aury, jaka w dniu owym panowała, odbył się przy udziale tysięcznych rzesz żydowskich. Cała ulica Rzeźnicka, gdzie zmarły rabin mieszkał, już od wczesnego ranka nabita była szczelnie, a jak szalony ścisk panował pod samym domem żałoby pojmie się łatwo, gdy się wie, że każdy z obecnych pragnął i starał się usilnie o to, by być jak najbliżej trumny i zwłok. Ani zimno, ani przenikliwy wiatr, ani deszcz chwilami ulewny — nie odstraszały tłumów od udziału w pogrzebie. A trwał ów pogrzeb od 10 rano do 5 popołudniu. Wygłoszono cały szereg mów żałobnych, między innymi przemawiali zięć zmarłego rabina i wnuk, obaj również rabini. Zwłoki rabina Schmelkesa, złożone w trumnie, zbitej z kilku zwyczajnych desek i pokrytej czarnem suknem, spoczęły na okopisku żydowskiem.



Grupa polska na międzynarodowym kongresie anty-alkoholicznym: Polacy ze wszystkich trzech zaborów, biorący udział w obradach kongresu.



BOJOWNICY

POWIEŚĆ

osnuta na tle ostatnich wypadków w Królestwie Polskiem.

NAPISAŁ

JERZY SWOBODA.

21 (Ciąg dalszy).

To zadanie jest nad ludzkie siły i wszystkie ich usiłowania pójdą na marne, zginą, nic nie osiągnąwszy, niczem nie zaznaczywszy swej działalności i dążeń.

Doszedł do sklepiku, otworzył drzwi oszklone małemi szybami i zajrzał.

Kupcowa, znając cel jego przybycia, zawołała uprzejmie:

— Niech pan wejdzie... siadaj pan — wskazała krzesło, patrząc na wiszący zegar — za trzy minuty przyjdzie.

Usiadł, rozejrzał się po sklepiku. Było tam wszystkiego po trosze: papierosy, bułki, chleb, wędliny; zwykły sklepik spożywczy w dzielnicy uboższej.

Od tego otoczenia, przy bliższem wpatrzeniu, odbijała trochę swem zachowaniem właścicielka sklepiku. Średniego wzrostu szatynka, lat średnich, nosiła swe ubranie nie bez wdzięku, miała krągłe, ładne ruchy, a na twarzy jej, oświetlonej lampą wiszącą, dał się dostrzedz wyraz smutku i zaciętości.

Przychodzili ci i owi, żądając towaru. Wszystkich obsługiwała z równą uprzejmością, tylko do jednego z mężczyzn uśmiechnęła się przyjaźnie i jak się zdawało Żaleckiemu, podkreśliła odpowiedź: „dziś nie, może jutro, proszę wieczorem". Zapewne znajomy, a może schadzka...

W tej chwili wszedł do sklepiku brunet, silnie zbudowany i zażądał dźwięcznym głosem papierosów. Szerokie rondo kapelusza przysłaniało górną część twarzy, natomiast widać było ładne, ciemne wąsy, twarz wygoloną i czerwone, uśmiechnięte usta.

Zwolna otwierał podane pudełko papierosów, patrzył badawczo na siedzącego Żaleckiego, udając skupioną uwagę na pudełko i spytał:

— Pani Maryo, czy ten gatunek papierosów jest... ten sam?

— Ten sam, co rano... pan brał.

Zapalił papierosa i zwrócił się do Żaleckiego:

— To pan mnie szuka?

Pytanie było tak nieoczekiwane, że zdziwiony spojrzał, milcząc przez chwilę:

— Czy pan Wojciech Kubalski?

— Ten sam — skinął głową.

— Jestem Żalecki... z polecenia pana Pawła.

— Pawła? — pokręcił głową — chodźmy się przejść... pogadamy.

Jakiś czas szli w milczeniu, wreszcie spytał szorstko:

— Ma pan znak jakiś? Dowód?

— Nie.

— Hm... hm... dawno go pan widział?

— Przed dwoma tygodniami.

— Gdzie? u kogo?

— U jednego z kolegów uniwersyteckich, przywiózł broszury — wymienił tytuły — przeznaczone na Częstochowę i Piotrków. Również odezwy na Zawiercie i Łódź.

— Jakie odezwy?

— Wezwanie do czynnego oporu.

— No, tak... a miejsce druku?

— Nie było zaznaczone.

— Jakże zdrowie Pawła?

— Skarży się jeszcze na reumatyzm, wyniesiony z celkowego więzienia... i boi się zimna.

— Dobrze... egzamin się powiódł — zaśmiał się wesoło — dajcie waszą rękę, nasz jesteście. Bo to widzicie, różni bywają... Wy nie macie miny podejrzanej, owszem, dość szczerą, ale ostrożność nie zawadzi.

— Rozumiem — szepnął.

— Gdy powiedzieliście o reumatyźmie, a zwłaszcza o zimnie, przekonałem się, że prawdę mówicie... Z czem przyjechaliście? Czego chcecie?

— Pracować w partyi, dla partyi.

Spojrzał na niego z lekką ironią:

— To, uważacie, frazes tylko; wszystko mówi, a nic nie powiada... Zaczekajcie z wynurzeniami, wstąpimy do restauracyi, jest na skręcie... pogadamy obszerniej.

Weszli do restauracyi na parterze i widocznie znali tu gościa, bo gospodarz witał głośno, usługujące dziewczęta wołały z uśmiechem: „dobry wieczór!"

Przeszli przez jedną salę, drugą i weszli do trzeciego pokoju, w którym pełnił służbę garson.

Gdy usiedli przy małym stoliku w rogu pokoju, zbliżył się usługujący:

— Czem mogę służyć?

— Najpierw dwie wódki i zakąski.

— Nie pijam wódki — powiedział Żalecki.

— Więc jedną na razie — a po wyjściu garsona — jeśli chcecie pracować wśród robotników, musicie żyć i pić jak oni, więc wódkę, piwo, kiełbasę, kiszki... Wyjątkowość odstręcza, zwłaszcza upodobań fizycznych... wiem to z praktyki życia.

— Jeśli zajdzie potrzeba, będę pił.

— Nieprzyzwyczajonego zamroczy wódka, a musicie mieć bardzo jasno w mózgu i każde słowo wpierw ważyć.

— Usłucham was... spróbuję teraz.

— Proszę jeszcze o kieliszek i przekąskę — rzekł do garsona.

— A teraz powiedzcie, czego chcecie? — patrzał na niego bystremi oczyma i podkręcał wąsy białą, delikatną ręką.

— Zdaje mi się, że potrafiłbym organizować fachowo, próbowałem już tego.

— Umiecie fach jaki?

— Pracowałem jako podziemny w kopalni.

— To na nic u nas... musielibyście być wykwalifikowanym, aby się dostać do fabryki, zresztą ściągnęlibyście zaraz podejrzenie na siebie... Co umiecie?

— Jestem chemikiem ze studyów.

— Chemikiem?... Macie na życie? — a otrzymawszy skinienie potwierdzające — spróbujecie wkręcić się do jednej fabryki, powiem której później. Właścicielem jest Niemiec, majstrowie przeważnie niemieccy, robotnicy z czterech stron świata. Mamy tam jednego z urzędników, dobry człowiek, chętny, ale strachajło, nieśmiały, ostrożny do zbytku i na ośmiuset robotników mamy trzy dziesiątki, dość wątpliwe. Jak widzicie, placówka niebezpieczna, o zdradę bardzo łatwo i cytadela pewna. Czterech, którzy się podjęli, schwytano, może was to ominąć, ale pewniej pójdziecie pod klucz. Radzę wam tam, bo nie mamy ludzi, a że próbowaliście organizacyi, tem lepiej dla was.. Ale wódka nam ostygła, w ręce wasze!

Wypili, jedli przekąski i Kubalski rozporządził, aby przyniesiono pieczeń i piwo.

— Wiecie panie -- zaczął Żalecki — podoba mi się ta fabryka — uśmiechnął się — lubię tam pracować, gdzie nerwy są w napięciu.

— O, wrażeń wam nie zabraknie!

— Przyjmuję to miejsce — rzekł Żalecki.

— Pomiarkujcie wasz zapał. Najpierw nie wiecie, czy dostaniecie się do fabryki, następnie trzeba wymacać i obliczyć się z własnemi siłami, bo nie sztuka zginąć lekkomyślnie. Nie przyjmuję waszego zobowiązania, bo wpierw, nim słowo się rzeknie, trzeba grunt zbadać.

— Macie racyę, panie.

— Nazywajcie mnie Komar, takie przezwisko nadali mi robotnicy i pod tem nazwiskiem pracuję w partyi. A wy mieliście przezwisko?

— Wołano na mnie „Buczek", bom młody był, a robotnicy byli przeważnie górale.

— To zatrzymajcie Buczka, to wcale przyzwoite nazwisko.

— Kiedy mogę się zgłosić do tej fabryki?

Zapytany spojrzał na zegarek:

— O godzinie siódmej dowiecie się. Gołąb będzie na bilardzie, pogadamy.

— Cóż to za jeden?

— Urzędnik fabryczny, o którym wam mówiłem; Gołąb to jego pseudonim. Więc spróbujecie fabryki?

— Już mówiłem i proszę o nią

— Należy ona do Gottlieba Hartknocha, język biurowy niemiecki; czy władacie?

— Bardzo dobrze.

— Od święta mówią po polsku... płacą nieźle, ale pomiatają ludźmi. Roboty dużo, bo to fabryka wyrobów metalowych.

— Nie boję się roboty, byle iść naprzód i nie zwlekać, nie wahać się.

— Podoba mi się wasz zapał — uśmiechnął się przyjaźnie — a teraz jedzmy i pijmy.

Wśród szczęku widelców i nożów, w przerwach jedzenia rozmawiali:

— Gdzie zajechaliście i kiedy?

— Wczoraj wieczorem do hotelu „Victoria".

— Dosyć drogi hotel — zrobił uwagę Komar — ale dobrze was rekomenduje.

— Pragnąłbym się wkrótce przeprowadzić, znaleźć tanie mieszkanie.

— Jeśli dostaniecie się do fabryki, nie radzę wam mieszkać przy familii, to krępuje, zresztą Gołąb wam pomoże.

— A wy gdzie jesteście, Komar?

— We fabryce urzędnikiem wydziału gospodarczego i płatniczym jednej grupy.

— Dawno?

— Trzeci rok i na tysiąc czterysta robotników

jest zorganizowanych trzydzieści cztery dziesiątki. Szło bardzo opornie i prawie wątpiłem.

Żalecki wpatrzył się w niego, odłożywszy nóż i widelec. Słyszał takie pochwały o nim od Pawła i dowiaduje się, że zaledwie trzystu czterdziestu ludzi zdołał zorganizować po trzech latach i to, jak mówi, z trudem.

— I jaka była przyczyna waszego niepowodzenia?

— Najzwyklejsza w świecie, byłem głupi — zaśmiał się — chciałem bądź co bądź wprowadzić teoryę w życie, no i stałem w miejscu, co zrobię krok naprzód, prawda życia odrzuca mnie krok wstecz.

— Nie rozumiem was.

— Głosiłem, że wszyscy robotnicy są braćmi bez różnicy narodowości, a życie dawało mi majstrów i starszych Niemców, prześladujących robotników polskich w imię interesów narodowych; robotników rosyjskich, odbierających w imię protekcyi narodowej chleb naszym biedakom. Broniłem winnych brakiem uświadomienia; słuchano, kiwano głowami i odwrócono się odemnie, bo wiecie, głód nie czeka, krzywda nie przestaje boleć mimo najwznioślejszych słów i haseł unicestwianych i zgniatanych prawdą życia. A jednak byłem tak zaślepiony, że nie rozumiałem tego i dwa lata straciłem na bezowocnej pracy i bezcelowych wysiłkach.

Żalecki słuchał go uważnie i przyszedł do przekonania, że Paweł przecenił wartość Komara. Spostrzegł to Komar i rzekł:

— Przypuszczacie — uśmiechnął się — że nie umiałem trafić w sedno... i to możliwe. Radzę wam jednak bardzo szczerze nie zaczepiać zbyt blisko religii, stosunków rodzinnych... zresztą sami wyczujecie miarę, i tego nie można się nauczyć, jak tylko doświadczeniem. I uważacie, nie galopujcie... dalej dojdziecie krokiem miernym, jednostajnym.

– Wiem o tem.

Komar zadzwonił i zażądał rachunku, chciał płacić za siebie Żalecki, lecz sprzeciwił się Komar w imię gościnności i pierwszego spotkania w Warszawie.

— Chodźmy już, bo to kawał drogi.

Gdy byli na ulicy, Żalecki, wspomniawszy Helenę, postanowił poradzić się Komara i po kilku ogólnikowych frazesach o Warszawie, skorzystał z chwilowej pauzy i rzekł:

— Mam do was interes drugi i pozwolicie, że go teraz przedłożę.

— Mówcie.

— Przyjechała ze mną koleżanka, nasza towarzyszka i ona chciałaby wziąć udział w robocie, co radzicie?

Komar wstrzymał się, spojrzał w oczy Żaleckiego i spytał:

— Czy to kochanka? żona?

— Ani jedno, ani drugie... towarzyszka.

— Wiecie, że u nas prawda zobowiązuje?

— Wiem i upewniam was, że mówię tylko prawdę.

— Bo uważacie — szli dalej obok siebie — my musimy być bardzo, ale to bardzo czyści moralnie... nie może być cienia podejrzeń. Zresztą nam potrzeba siły, a tę marnujecie z kochanką; my każdej chwili stawiamy w naszej grze życie nasze, a kochanka czy żona utrudnia decyzyę. Strzeżcie się miłostek i kochanek... Co do tej towarzyszki, koleżanki waszej z uniwersytetu, może da się użyć z czasem; czy ma utrzymanie?

— Nie, niema. Szuka zajęcia.

— Pomyślę... rozpytam się... Na razie nic nie wiem, ale czasem trafi się niespodzianie. W każdym razie poradźcie jej, aby kupiła sobie naukę buchalteryi i niech studyuje.

— Dobrze, dziękuję wam.

— A wy pod którym numerem w hotelu?

— Dwudziesty siódmy.

Gdy już się zbliżyli do cukierni narożnej, rzekł Komar:

— Pójdę przodem... wy wejdziecie w kilka minut i nie siadajcie przy mnie... znają mnie wyżły, bo jestem pod dozorem.

— Rozumiem.

Komar wszedł przez frontowy sklep cukierniczy i skierował się wprost do salki z bilardem. Z jednym z grających zamienili spojrzenie, a Komar nie witając się, usiadł przy stoliku bocznym, i kazał podać herbatę.

W salce było z dziesięć osób. Komar, wziąwszy gazetę do ręki, pilnie z pod oka przypatrywał się wszystkim. W cieniu pod oknem dostrzegł również czytającego pilnie, mimo niedostatecznego światła, i zauważył błysk jego oczu od czasu do czasu i lekkie nachylanie się w stronę mówiących.

— Jesteś ptaszku — uśmiechnął się wzgardliwie — no, mnie nie schwycisz – i spokojnie czytał dalej.

Wszedł Żalecki, pokręcił się po sali, szukając wolnego miejsca, a widząc, że przy stoliku pod oknem siedzi tylko jeden pan, zbliżył się i usiadł.

Tamten obejrzał go troskliwie, a gdy Żalecki nie dostrzegł cukru, dawanego do kawy, nieznajomy pospiesznie polecił chłopcu przyniesienie i zwracając się:

— Tu marna usługa, nie taka, jak w pańskich cukierniach Lursa.

— Nie znam jej.

— I ja nie... bo przecież pracującemu ciężko na takie zbytki — westchnął — raz tylko jeden byłem w Udziałowej, pan zapewne tam często.

— Ja nie tutejszy... nie znam — i wpatrzył się ciekawie w twarz narzucającego się. Wyraz był dobroduszny, słodki, uśmiechnięty, a wygląd ogólny mógł tak dobrze znamionować niższego urzędnika, jak i rzemieślnika.

— Więc pan przyjechał do Warszawki – uśmie-



...Ja nie tutejszy, nie znam — i wpatrzył się ciekawie w twarz narzucającego się...

chnął się — na tańce, zabawę, hulankę... szczęśliwy!

— W interesach familijnych — i chcąc się pozbyć indagowania — pan pozwoli mi gazety.

— I owszem, proszę... nic ciekawego.

— Dla mnie świeże nowiny — i zaczął czytać.

W czasie swej rozmowy z nieznajomym zauważył, że Komar wstał i z ciekawością śledził grę bilardową, a nawet robił uwagi.

Nieznajomy jeszcze raz obejrzał Żaleckiego, wstał i z rękami w tył założonemi zwolna podszedł do bilardu, patrząc z zajęciem na biegnące bile.

Komar usiadł przy swym stoliku, zapłacił i po chwili wyszedł.

Żalecki przeczekał kilka minut i również wyszedł. Gdy stał niezdecydowany, w którą iść stronę, usłyszał cichy gwizd i dojrzał Komara po przeciwnej stronie ulicy.

— Rozmawialiście ze szpiclem, Buczku, jakże wam się podoba?

— On szpieg? Nie poznałem.

— Zapamiętajcie jego rysy, bo wygląd dość często zmienia.

— Tak, pamiętam.

— Utrwalcież, bo przyda się wam. Teraz pójdziemy do dobrej restauracyi, on w tem przebraniu nie przyjdzie, a musi coś przewąchiwać, gdy siedzi w tej dziurze.

— A Gołąb będzie?

— Już wie.

Weszli do restauracyi jasno oświetlonej, a usiadłszy przy stoliku, kazali podać piwo.

Rozmawiali o stosunkach galicyjskich, aż wreszcie przyszedł Gołąb, blondyn szczupły, przystojny, lekko pochylony, z krótko strzyżoną brodą i po przywitaniu:

— Zostawiłem go, kogoś tropi, ale kogo?

— Miałem tam dwóch znajomych, ale ich uprzedziłem — rzekł Komar.

Po wyjaśnieniu kwestyi umieszczenia Żaleckiego, mówił Gołąb:

— Jutro ze świadectwami pójdziecie wprost do dyrektora, będziecie mówili po niemiecku... Dowiedzieliście się o miejscu od Fryderyka Bauer, niskiego, z brodą szpakowatą, utykającego na lewą nogę. Jechał do Magdeburga i opowiadał ogólnikowo o tem miejscu. Czy wam się uda? nie wiem... w każdym razie nie znamy się.

— Dziękuję wam... zatem Fryderyk Bauer?

— Tak jest... również chemik, wyjechał przed dwoma dniami, a mogliście się spotkać na piwie szwehackiem. Informacyi co do ludzi nie potrzebujecie na razie... a proszę i radzę ostrożność wielką.

— Byliście Gołąb, na posiedzeniu?

— Nie mogłem... ale pisma dojdą na miejsce przeznaczenia.

Komar zaczął się dopytywać o jakieś sprawy i ludzi, ale tak urywanemi zdaniami i wyrazami, że Żalecki słuchając, zaledwie piąte przez dziesiąte rozumiał, domyślał się tylko, że idzie o jakieś dziesiątki i działalność nieznanych mu ludzi.

Rozmowa zeszła na zwykłe sprawy i na politykę. Wojna z Japonią budziła w obu nadzieję osłabienia despotyzmu i systemu ucisku.

— Ale, ale, Gołąb — wtrącił nagle Komar — nie słyszeliście o miejscu jakiem dla inteligentnej towarzyszki?

— Owszem, słyszałem. Mówił mi Leman, że na miejsce aresztowanej Kazi poszukują kogoś. Czy ona tutejsza?

— Nie, zagraniczna — wyjaśnił Żalecki.

— Tem lepiej — uśmiechnął się Gołąb — bo tam nie chcą tutejszej. Zajęcie nie zbyt ciężkie, zapisywanie ilości wziętych motków, bo to fabryka dywanów i jakieś inne drobne obowiązki.

— A spotykacie często Lemana?

— Nie bardzo.

— Napiszcie kilka słów dla oddawczyni, a ja się przypiszę — rzekł Komar.

— Napisać?... Czy ona pewna? — wahał się — bo może nas trzech narazić.

— Ręczę za nią... sam Paweł wysyłał ją z odezwami — spojrzał porozumiewawczo na Komara.

— Pewna — potwierdził Komar — piszcie.

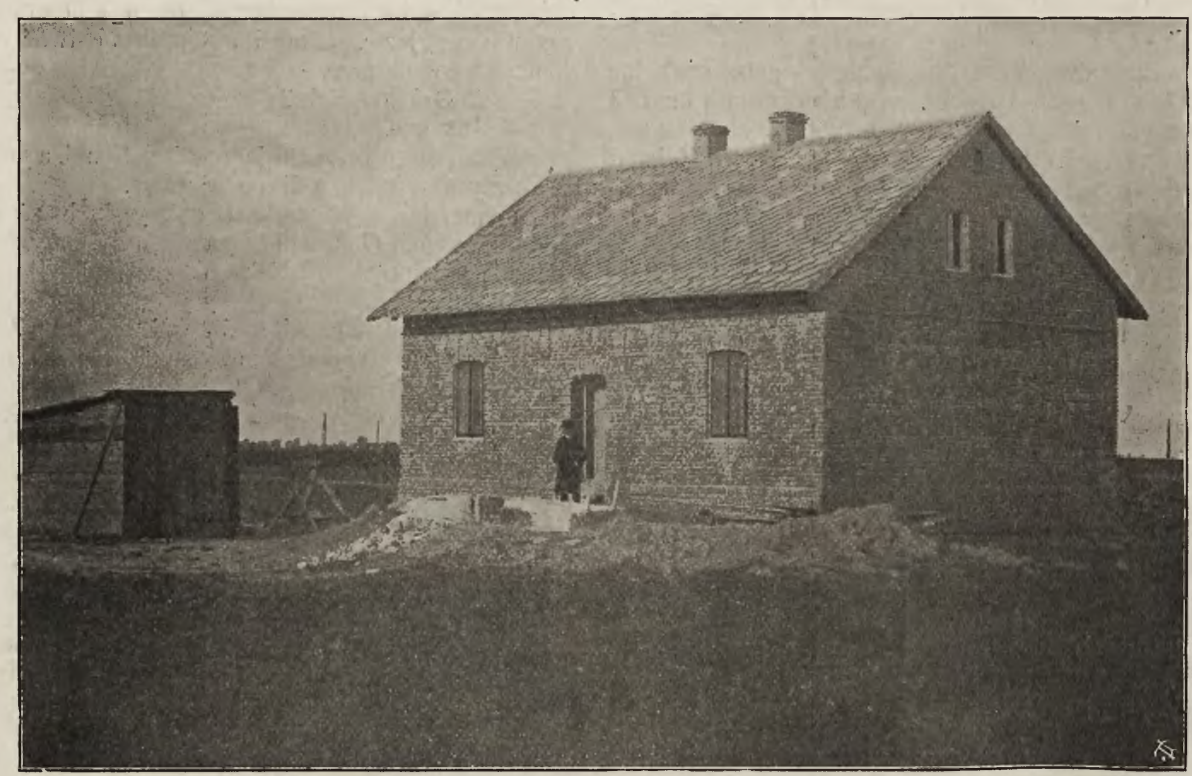
Garsona, usługującego w tym pokoju, nie było na razie, podszedł inny, który ze szczególnym szacunkiem skłonił się przed Komarem, a gdy przyniósł papier i pióro, spojrzał tak wymownie na Komara, że ten wstał, a garson, usunąwszy się głębiej, szeptał mu coś do ucha, co zaniepokoiło słuchacza, zadał pytanie i z uśmiechem przyjaznym uścisnął skrycie rękę garsona.

— Co się stało? — spytał cicho Gołąb.

— Kapitan żandarmeryi, Bolcew, dziś pojechał na rewizyę do Żyrardowa; uprzedzono jego wizytę, dzięki jego zapobiegliwości.

— Co? wygadał się? — uśmiechnął się Gołąb.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Walka z cholerą na pograniczu Prus i Galicyi: Szpital choleryczny w Brzezince. Fot. E. Pierzchalski. Kraków.

Walka z cholerą na pograniczu Galicyi i Prus.

Wspominaliśmy w poprzednim numerze o strasznej epidemii o cholerze, która się w ostatnich czasach pojawiła w Prusiech, napełniając trwogą i przerażeniem całą zachodnią Europę. Wszędzie poczęto więc zastosowywać środki wskazane przez naukę, a mające zapobiedz rozszerzaniu się tej strasznej choroby. I władze galicyjskie wzięły się gorliwie do tej sprawy. Na wieść o szerzącej się cholerze, rząd zarządził wszelkie możliwe środki, zmierzające do powstrzymania jej. Do pograniczych miejscowości, wysłano lekarzy rewizyjnych, urządzono szpitale choleryczne, dworce kolejowe zaopatrzono w aparaty desinfekcyjne i zarządzono badania podróżnych co do zdrowia.

Ponieważ cholera pojawiła się naprzód w Prusiech, zwrócono przeto szczególną uwagę na Oświęcim. Przez miejscowość tę bowiem, graniczącą z Prusami, przelewają się rok rocznie dziesiątki tysięcy robotników, wiosną jadących na robotę, jesienią zaś powracających do domu. Obecnie przybywa dziennie do Oświęcimia 10 pociągów, a każdy jest przepełniony robotnikami, wracającymi po większej części z Prus. Namiestnictwo wydelegowało więc do Oświęcimia dwóch lekarzy, p. drów Hanakowskiego i Jareckiego, którzy mają badać stan zdrowia podróżnych, zarządzać desynfekcyę rzeczy należących do osób wracających z okolic nawiedzonych epidemią, a wrazie niebezpieczeństwa zająć się w pierwszej chwili leczeniem chorych.

Dla umieszczenia chorych przygotowano dwa szpitale, jeden obok dworca, we wsi Brzezince, drugi w Oświęcimiu. Oba te szpitale zostały wzniesione przez gminy miejscowe, które okazały w tej sprawie rzadką w naszych stosunkach gotowość i ofiarność. Jest to również w znacznej części zasługą znanego ze swej obywatelskiej działalności burmistrza Oświęcimia, p. Karola Śmieszka.

Kontrola pasażerów, jadących z Prus, nie ogranicza się tylko do badania na stacyi. Podróżnych przybywających z okolic nawiedzonych cholerą, notują organa expozytury policyi na dworcu w Oświęcimiu i przesyłają codziennie wykazy ich do miejscowości, do których podążają, gdzie znów podlegać muszą pięciodniowej obserwacyi. Obaj wspomnieni wyżej lekarze, oraz komisarz policyi na dworcu oświęcimskim dr. Krzyżanowski, czynią wszystko, co tylko jest w ich mocy, aby żadnego chorego na cholerę nie puścić do kraju i uchronić kraj od strasznej epidemii.

Illustracye nasze, zamieszczone w dzisiejszym numerze, przedstawiają szpitalik choleryczny w Brzezince obok dworca oświęcimskiego, dalej szpitalik choleryczny w Oświęcimiu ze zgromadzoną przed nim miejską komisyą sanitarną z burmistrzem p. Śmieszkiem na czele. Trzecia illustracya przedstawia komisyę rewizyjną, urzędującą na dworcu kolejowym, wśród której znajdują się komisarz policyi dr. Krzyżanowski, koncepista namiestnictwa z Białej dr. Spanier, oraz lekarz dr. Hanakowski.

Park dla młodzieży szkolnej w Stryju.

Przyznać musimy, że na polu wychowania młodzieży, pozostaliśmy znacznie w tyle za innymi narodami. Kraje bogatsze doprowadziły wychowanie przez gruntowną reformę wprost do doskonałości, podczas gdy u nas pod tym względem bardzo mało uczyniono. Nasze dzieci, zwłaszcza w większych miastach, to są prawdziwe ofiary naszego systemu wychowania. Siedzą one cały ranek aż do południa w szkole, a po nauce muszą znów siedzieć w domu, jeżeli zaś wyjdą, to jedynie na ulicę, gdzie przecież nie mogą wytchnąć po pracy. Zagraniczne miasta posiadają więc prawie wszystkie, osobne parki przeznaczone specyalnie dla młodzieży, parki, gdzie młodzież może swobodnie odetchnąć po ucią-



Fot. E. Pierzchalski Kraków.
Walka z cholerą na pograniczu Galicyi i Prus: Szpital choleryczny w Oświęcimiu, przed szpitalem miejska komisya sanitarna, z burmistrzem Śmieszkiem na czele.



Park dla młodzieży szkolnej w Stryju: J. Nowakowski inspektor okręgowy i projektodawca parku.

żliwej umysłowej pracy. U nas, jeżeli co pod tym względem uczyniono, to zawdzięczać musimy jedynie szlachetnym jednostkom, rozumiejącym, co to jest młodzież i jak o nią dbać należy. Taki np. park Jordana w Krakowie, będący jednym z najpiękniejszych i najlepiej urządzonych parków na świecie, powstał jedynie dzięki ofiarności i pracy szlachetnego lekarza, prof. Jordana. W ostatnich czasach otwarto takiż park dla młodzieży w Stryju. I ten park jest dziełem jednostki, mianowicie radcy Augusta Szczurowskiego.

Aby młodzież mogła się wychowywać na użyteczne podpory społeczeństwa, musi u niej z rozwojem umysłowym iść w parze i rozwój fizyczny. Z tego założenia wyszedł szlachetny przyjaciel młodzieży p. Szczurowski i poświęcił wszystkie siły, aby dla młodzieży otworzyć w Stryju park, w którymby mogła na świeżem powietrzu pohasać i zabawić się wesoło, orzeźwiając umysł i nadając mu przez to nowy zasób energii. Usiłowania jego zostały też uwieńczone pomyślnym skutkiem i w niedzielę odbyło się uroczyste poświęcenie parku.

Park jest nadzwyczaj obszerny, obejmuje bowiem 10 morgów gruntu. Urządzony jest prawdziwie artystycznie i zastosowany do celu, dla jakiego został stworzony. Ma wspaniałe klomby, place ćwiczeń, plac tennisowy i mnóstwo alej do spacerów. Obok olbrzymiego pawilonu znajduje się kręgielnia, dalej zaś przyrządy gimnastyczne. Stworzeniem tego parku, będącego i ozdobą miasta i pożytecznem nabytkiem dla młodzieży, wystawił sobie p. radca Szczurowski najwspanialszy pomnik.

* * *

W uzupełnieniu artykułu podajemy obok zdjęcie pawilonu w nowootwartym parku, oraz portrety p. Szczurowskiego, twórcy parku i jego najdzielniejszego pomocnika p. Juliusza Nowakowskiego, inspektora okręgowego, który podał myśl założenia parku.

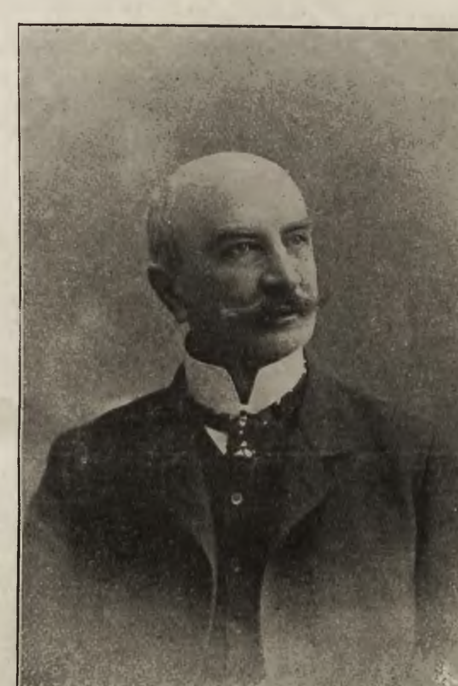


Fot. E. Pierzchalski. Kraków.

Walka z cholerą na pograniczu Galicyi i Prus: Komisya dla badania stanu zdrowia podróżnych, przejeżdżających z Prus przez Oświęcim.



Park dla młodzieży szkolnej w Stryju: Pawilon w parku wraz z publicznością, zgromadzoną na uroczystości poświęcenia parku.



Park dla młodzieży szkolnej w Stryju: Aug. Szczurowski c. k. radca namiestnictwa, założyciel parku.

Nowa rzeźnia w Oświęcimiu.

Stały rozwój Oświęcimia datuje się od lat kilku, zwłaszcza od czasu, kiedy burmistrzem miasta został wybrany p. Karol Śmieszek, znany ze swojej obywatelskiej działalności.

Oświęcim, wskutek swego położenia wśród błotnistej, i malarycznej okolicy, jest miejscem bardzo podatnem do zagnieżdżenia się rozmaitych chorób. Pierwszą tedy pracą energicznego burmistrza, była praca nad poprawą stosunków zdrowotnych, które



Nowa rzeźnia w Oświęcimiu: Ogólny widok nowej rzeźni.

Fot. E. Pierzchalski. Kraków.



Wystawa przemysłowa w Tarnowie: Komitet wystawowy. Fot. L. Majewski. Tarnów.

też za jego rządów znacznie się poprawiły. Śmiertelność bowiem w Ośmięcimiu stała się mniejszą.

Do największych zasług p. Śmieszka należy wybrukowanie miasta i doprowadzenie do skutku budowy nowej rzeźni. Rzeźnia ta, wystawiona kosztem dwustu tysięcy koron, znajduje się obok dworca oświęcimskiego. Jest to budynek duży, zastosowany doskonale do swego przeznaczenia, a zaopatrzony w najnowsze przyrządy i aparaty hygieniczne. Wogóle przy budowie nowej rzeźni starano się przedewszystkiem o to, aby zastosować ją do wszelkich wymogów hygieny, aby przeprowadzić w niej możliwie najdokładniejszą kanalizacyę, celem zachowania czystości. Usiłowania p. Śmieszka uwieńczył pomyślny skutek. Nowa rzeźnia jest budynkiem w całem tego słowa znaczeniu nowożytnym, a Oświęcim może być z niej dumny.

Obecnie dąży burmistrz p. Śmieszek do skanalizowania miasta, a w tem dążeniu popierają go wszystkie uczciwe żywioły w Oświęcimiu.

W uzupełnieniu artykułu zamieszczamy obok fotografię nowej rzeźni w Oświęcimiu.

Wystawa przemysłowa w Tarnowie.

W poprzednim numerze podaliśmy kilka zdjęć z wystawy przemysłowej w Tarnowie, oraz ogólny opis tej wystawy. Ogółem można powiedzieć, że była to jedna z najlepiej urządzonych wystaw, dawała bowiem dokładny obraz każdej gałęzi naszego krajowego wytwórstwa. Wszystkie przedmioty zostały bardzo dobrze rozmieszczone, tak, że oglądając wystawę odnosiło się jak najlepsze wrażenie.

Było to w zupełności zasługą komitetu wystawowego. Myśl urządzenia wystawy powzięło szczupłe grono osób, między nimi pp. dr. Tadeusz Tertil i L. Możdżeński. Usiłowania te poparła Rada miejska, głównie dzięki energii burmistrza Rogoyskiego. Zawiązał się więc wkrótce komitet, w skład którego weszli oprócz wyżej wspomnianych pp.: Adolf Stapf architekt, S. Zaremba budowniczy,



Wystawa przemysłowa w Tarnowie: Pawilon Towarzystwa Szkoły Ludowej. Fot. L. Majewski. Tarnów.



Fot. L. Majewski. Tarnów

Wystawa przemysłowa w Tarnowie: Wystawa wyrobów ręcznych prywat. szkoły robót p. Krzyżanowskiej w Oświęcimiu

Antoni Kurowski, profesor szkoły ogrodniczej (skarbnik), dr. Juliusz Wójcicki sekretarz i p. St. Kozubowski. Stroną architektoniczną zajął się p. Stapf, dekoracyą ogrodową p. Kurowski i obaj wywiązali się z zadania znakomicie.

Szczególną uwagę zwiedzających wystawę zwra-



Związek sokoli: Władysław Turski, wiceprezes Związku Sokołów.



Związek sokoli: [illegible] Witwicki, sekretarz Związku Sckołów.



Związek sokoli: Dr. Ksawery Fiszer, prezes Związku Sokołów. (Treść na str. 12).



Związek sokoli: Dr. Jan Czarnik, prezes Sokoła Lwów I.



Związek sokoli: Antoni Durski, naczelnik Związku Sokołów.

cał nader gustownie urządzony kram Towarzystwa Szkoły ludowej. Kram ten urządzony był nakształt wiejskiej strzechy. Na froncie strzechy widniał duży obraz, przedstawiający alegoryę Towarzystwa.

W sali parterowej Sokoła, mieszczącej najwięcej obrazów, uwagę widzów przyciągała również wystawa robót ręcznych z prywatnej szkoły robót artystycznych p. A. Krzyżanowskiej z Oświęcimia. Szczególnie piękne były na tej wystawie bluzki damskie, ozdobione artystycznym haftem, serwety i prześliczne kilimki. P. Krzyżanowska otrzymała za swe wyroby złoty medal.

W uzupełnieniu artykułu podajemy w niniejszym numerze fotografię komitetu wystawy, oraz dwa zdjęcia z wystawy, a mianowicie zdjęcie z kramu Towarzystwa Szkoły ludowej, oraz zdjęcie, przedstawiające wystawę artystycznych robót ręcznych p. Krzyżanowskiej.

Zawalenie się mostu na rzece Nekar.

W ubiegłym tygodniu doniosły dzienniki o wielkiej katastrofie, jaka się wydarzyła w Niemczech nad rzeką Nekar. Zawalił się tam mianowicie olbrzymi most kolejowy, właśnie będący w budowie.

Most ten miał połączyć ze sobą dwie zbiegające się nad Nekarem linie kolejowe. Dokładano więc wszelkich starań, aby ten most był nietylko silnym i trwałym, ale żeby był budową momumentalną. Jako jedynego materyału budowlanego użyto w tym celu żelaza. Wszystkie wiązadła i belki były żelazne. Most był długi na przeszło 70 metrów. Ażeby więc nie przerywać żeglugi, dosyć na Nekarze rozwiniętej, musiano most budować z dwóch stron, od obydwu brzegów, aby środek pozostawić wolny dla przejazdu okrętów. Budowa doszła w ubiegłym tygodniu do tego stadyum, że zabrano się już do połączenia obydwóch części mostu. Wstrzymano więc na razie ruch okrętów i rozpoczęto pracę w tym kierunku. W południe, kiedy już większa część mostu była zmontowana, oderwała się nagle jedna część wiązadeł i runęła do wody, pociągając za sobą obydwie części mostu. Na szczęście podczas tej katastrofy nie było na moście ani jednego robotnika, dzięki czemu nie było ofiar w ludziach. Szkodę, powstałą przez tę katastrofę, obliczają jednak w każdym razie na kilka milionów marek.



Kongres ziemstw w Moskwie: Posiedzenie ziemców pod przewodnictwem księcia Pawła Dołgorukiego. (Treść na str. 13).

CÓRKA ŻEBRACZKI.

Romans kryminalny.

Z FRANCUSKIEGO PRZEŁOŻYŁ J. R.

4 (Ciąg dalszy).

— A więc Fryderyk Hohlfeld! Skoro jego odnajdę, dowiem się i tego, co chcę wiedzieć. A teraz — dobranoc, mój wierny Marcinie! Jak powiedziałem, przygotuj się należycie na przyjęcie nowego gościa.

Rzucił na stół kilka bankotów i podał staremu rękę na pożegnanie.

— Jeszcze raz: dobranoc!

Wyszedł i w kilka chwil później galopował na swoim wierzchowcu, wesoły, że udało mu się znaleść punkt wyjścia dla swoich planów.

VI.

Znowu bez dachu.

Po ostatniej swojej rozmowie z wyzdrowiałą hrabiną Mironeau przyszła pani Renault do przekonania, że hrabina jest nikim innym, tylko jej córką, Gizelą.

W tym czasie, kiedy na nią i na jej małżonka padło podejrzenie o zamordowanie hrabiego Hugona Mironeau, kiedy ich zabrano do więzienia i oboje niesłusznie skazano, Gizela była jeszcze dzieckiem i nie mogła odczuć ani zrozumieć nieszczęścia, jakie spotkało jej rodziców.

Ale to już kawał czasu dzisiaj od tych chwil. Całych piętnaście lat przecierpiała nieszczęśliwa kobieta w więzieniu, piętnaście lat ciężkiej a niesłusznej kary, a pamięć o dzieciach, o Gizeli i Henryku, wydała się jej w końcu bladym jeno snem.

A teraz — dziwny zbieg okoliczności — teraz nagle odnalazła Gizelę, którą po raz ostatni widziała jako dwuletnie dziecko i odnalazła ją prześliczną, jaśniejącą wszystkimi blaskami młodości i poślubioną hrabiemu, który był synem jej śmiertelnego wroga.

Dziwnymi drogami musiała ją prowadzić Opatrzność, biedną, nie znającą rodziców sierotę, że uchroniła jej młodość od wszelkich niebezpieczeństw, że miłość jej, jaka w jej sercu wykwitła, nie musiała zwiędnąć pod zimnem tchnieniem losu.

O tem wszystkiem myślała pani Renault, uspokoiwszy się.

Potem przypomniały jej się słowa młodej hrabiny, że ona tylko ze wstrętem i trwogą może myśleć o swojej matce, która jako zbrodniarka, nie jest godną jej miłości.

I boleść chwyciła znowu jej serce, gdyż wiedziała, że nie jest w stanie na razie wykazać córce swej niewinności.

Czy jej się kiedy uda zrzucić z siebie to hańbiące piętno zbrodniarki, które przecież zawsze jeszcze nosiła? Czy przyjdzie kiedy dzień, w którym będzie mogła przystąpić do swoich dzieci i powiedzieć im: Patrzcie, tu są dowody mojej niewinności, ja, wasza matka, nie jestem zbrodniarką, bo i ja i ojciec wasz pokutowaliśmy za winy niepopełnione!

Duże łzy stoczyły się po policzkach biednej, samotnej kobiety.

Przed otwartem oknem padła na kolana, podniosła ręce i błagalny wzrok ku czystym, jak kryształ niebiosom.

— Miłosierny Boże, do tronu Twojej sprawiedliwości zasyłam serdeczne błaganie, dozwól mi dożyć tego dnia, tej godziny, w której będę mogła, zwolniona od wszelkich podejrzeń i czysta, uściskać moje biedne dzieci, abyśmy Cię mogli razem wielbić i sławić Twą dobroć wszechmocną, o Ty, co losami światów i każdego stworzenia kierujesz!

W tej chwili dał się słyszeć turkot jadącego wozu; podniosła się skwapliwie i wyjrzała oknem na pole.

Ujrzała odkrytą karocę w której młoda hrabina siedziała obok elegancko ubranej kobiety.

Widok ten rozranił jej serce na nowo; zdawało się jej, że w tej chwili utraciła po raz drugi swą córkę.

Kiedy powóz wreszcie znikł jej z oczu, zeszła na dół.

W sieni spotkała ją żona młynarza.

— Widzi pani, pani Renault, straciła pani nagle swoją wychowanicę!

— Jednak to nie znaczy, że młoda hrabina na zawsze się już z nami rozłączyła?

— Niestety, zdaje się, że już więcej do nas nie wróci.

Pani Renault uczuła, jak serce jej przeszedł zimny, lodowaty dreszcz.

— Nie powróci — wyszeptała zbladłemi wargami — a ja ją tak polubiłam, i tak mi przykro, że jej już nie zobaczę.

— I ja ją pokochałam, tak, że przy rozstaniu zdawało mi się, że się żegnam z własną córką.

— Jakże to się tak nagle stało? kto jest ta młoda dama, która nam ją uprowadziła?

Żona młynarza opowiedziała teraz całą historyę i ze zdumieniem dowiedziała się pani Renault, że kobietą, która Laurę zabrała na pokojówkę, była hrabianka Wilma Mironeau.

— Nie będzie jej tam źle — kończyła żona młynarza swoje opowiadanie — i możemy się cieszyć, że tę dobrą młodą kobietę takie szczęście spotkało.

— Tak, tak — szepnęła pani Renault i poszła do swojej roboty.

Czuła się tak przygnębioną, tak nieszczęśliwą, że z trudem tylko udało się jej powstrzymać łzy, gwałtem do ócz się cisnące.

Zaledwie odnalazła swoje ukochane dziecko i zaraz musiała je stracić!

Jakążby to dla niej było serdeczną pociechą, gdyby, chociaż niepoznana, mogła z córką przebywać kilka chwil dziennie! Okrutny los nie użyczył jej tego szczęścia; jak dawniej, musiała i teraz stąpać po cierniach i głogach.

Wieczorem udała się do izdebki, zajmowanej poprzednio przez młodą hrabinę.

I tu ból jej wzmógł się jeszcze na widok tego pokoiku, w którym mieszkała jej córka, i tych przedmiotów, które dla jej użytku służyły.

Wyszukiwała najrozmaitsze drobiazgi, o których wiedziała, że były własnością Gizeli. Związała je wszystkie w jeden pakiecik, szepcząc z cichem zadowoleniem:

— Pójdę z tem do zamku i sama wręczę to pokojówce Wilmy. W ten sposób znajdę przecie sposobność, aby mojej drogiej, kochanej Gizeli spojrzeć raz jeszcze w twarz i choć kilka słów od niej usłyszeć.

Sama myśl o tem, napawała ją radością. Policzki jej okryły się rumieńcem; zacierała ręce ze szczęścia.

Ażeby jednak niczego nie zapomnieć, przeszukała jeszcze raz ~~łóżko, na którem spała Gizela~~ i znalazła pod poduszką jakieś małe zawiniątko, przewiązane na krzyż różową, nieco wyblakłą wstążeczką.

— To także jej — szepnęła i podeszła z zawiniątkiem do stołu.

Co tam w nim być mogło? Pakiecik był lekki i miękki, wartościowych rzeczy więc w nim z pewnością nie było.

Ciekawość biednej kobiety wzrosła tak dalece, że po krótkim namyśle poczęła rozwiązywać węzełek.

— Nie popełnię chyba zbrodni, jeżeli go rozwiążę. Przecież Gizela jest mojem dzieckiem, a pakiecik do niej należy.

Tem uspokoiła sumienie.

Rozwiązawszy zawiniątko, ujrzała, że były w niem same tylko, na pozór bezwartościowe papiery, które Gizela tylko tak, dla zabicia czasu, zebrała i przewiązała wstążeczką.

Wyjmowała jeden kawałeczek po drugim i rozkładała na stole.

Była tam kartka, zapisana niewprawną jeszcze ręką dziecięcą; na kilku kartkach były poezye, wypisane z książek i gazet, zwyczajne ulotne wierszyki, jakie się mogą podobać piętnastoletniej panience. Nie było tam jednakże żadnych wierszy o treści banalnej lub zdrożnej; wszystkie wiersze tchnęły czystą, nieskalaną poezyą dziecięcego serca.

Wzruszona czytała pani Renault te kartki jedną po drugiej i przyciskała do swoich warg. Boć przecie kartki te były pisane ręką jej dziecka, a treść ich przekonywała ją, że dusza tego dziecka była czysta, nieskalana żadną złą myślą.

Już prawie kończyła przeglądać te kartki, kiedy w ręce jej wpadł jakiś papier, który, jak się zdawało, zawierał poważniejszą treść.

Był to widocznie, sądząc po formie, list, zaczęty słowami: „Moje kochane dziecko!“ — a podpisany nazwiskiem: Fryderyk Hohlfeld.

— Fryderyk Hohlfeld — rzekła półgłosem — ktoby to mógł być?

Z natężoną uwagą zaczęła czytać list, który brzmiał następująco:

„Moje kochane dziecko!

Jestem bardzo szczęśliwy, wiedząc o tem, że Twój los jest już zapewniony. Jako żona zacnego, szlachetnego człowieka, który szczęśliwym trafem jest bardzo bogaty, możesz spokojnie i bez troski patrzeć w przyszłość.

Będąc opiekunem twojego dziecięctwa i twej młodości, starałem się, o ile mogłem, aby ci życie jak najpiękniejszem i najlepszem uczynić. Wiesz o tem, że jeszcze przed Twoim ślubem oddałem ci większą kwotę, której wtedy gwałtownie potrzebowałaś. Wspominając o tem, chciałem ci tylko powiedzieć, że teraz jesteś już finansowo zabezpieczoną i że wobec tego ja ci już więcej pieniędzy dawać nie będę.

Jestto czasami bardzo dobrze zwrócić nawet bogatym ludziom uwagę, że ze źródeł, z których dotąd czerpali, więcej już czerpać nie mogą, że więc i oni powinni trochę oszczędzać.

A teraz, droga moja Lauro, przesyłam ci ze szczerego serca ostatnie: bądź zdrowa!

Takie są już wyroki Opatrzności, że odtąd drogi nasze już więcej się nie zejdą i że prawdopodobnie już nigdy się nie zobaczymy.

Kiedyś dochodziła do lat dojrzałych, zauważyłaś i niejednokrotnie starałaś się najtkliwszemi słowy wydobyć ze mnie przyczynę mojego smutku. Serce moje było przed tobą zamknięte, bo to, co było ciężarem mojego serca, to właśnie i przedewszystkiem dla ciebie musiało zostać tajemnicą.

Ach, na życiu mojem jest cień, ciemny, głęboki cień, którego nawet słoneczna jasność twej dziecięcej miłości nie zdołała rozproszyć. A z biegiem lat cień ten stawał się coraz ciemniejszy i teraz rośnie ciągle, aż chyba śmierć go rozproszy.

Dlatego to postanowiłem usunąć się zupełnie od zgiełku świata i wyszukać sobie schronienie w jakiemś odległem, zacisznem pustkowiu, gdzieby mi nic nie mogło przypominać tego czaru i uroku, który mną owładł i do upadku mnie przywiódł.

Nie staraj się nawet dowiadywać o mnie i oszczędź sobie trudu szukania jakich śladów po mnie — bo to wszystko będzie nadaremnie.

Bądź zdrowa, żyj szczęśliwie i zachowaj w pamięci człowieka, który cię kiedyś strzegł wiernie, który ci trochę dobrego zrobił, ale który jednakże winien ci jeszcze wiele, bardzo wiele!

Mam nadzieję, że tam, w górze, ponad gwiazdami, kiedyś się jeszcze ujrzymy.

Twój Fryderyk Hohlfeld“.

Łatwo zrozumieć, że list ten poruszył biedną kobietę do głębi. Niezliczone pytania cisnęły jej się do mózgu, a na żadne z nich nie umiała znaleźć odpowiedzi.

Fryderyk Hohlfeld, wychowawca Gizeli, był, jak jej się zdawało, człowiekiem bogatym, nie mogła sobie jednak w żaden sposób przypomnieć, czy kiedykolwiek słyszała co o człowieku, który się tak nazywał.

Napróżno szukała takiego nazwiska pomiędzy krewnymi; taksamo nie mogła go znaleźć między znajomymi i przyjaciółmi swego straconego małżonka.

A przecież człowiek ten był dla Gizeli kochającym ojcem; on ją wychował, dał jej większą sumę pieniędzy, postarał się o to, ażeby wyszła za mąż i cieszył się jej szczęściem.

Co właściwie skłoniło tego człowieka, jakie motywy nim kierowały, że w tak wysoce humanitarny sposób zajął się biedną sierotą, której rodzice w oczach całego świata nosili piętno morderców na czołach?

I zagadkowo wyglądało także to samooskarżenie piszącego.

A może ta ciemna tajemnica, osłaniająca jego całe życie, stała w jakim przyczynowym związku z jego postępowaniem wobec Gizeli?

Zdawało się, że tak; bo miejsce, w którem on jej wyznaje, że jej dużo, bardzo dużo winien, daje obszerne pole do podobnych przypuszczeń.

Pani Renault zebrała wszystkie papiery, złożyła taksamo, jak były dawniej i przewiązała wstążeczką. Jednak długo jeszcze siedziała, pogrążona w myślach.

Wreszcie rozłożyła ręce i rzekła z cichem, pobożnem westchnieniem:

— Niech Bóg błogosławi szlachetnego męża. Jakkolwiekby się rzeczy miały, to jednak on, Fryderyk Hohlfeld, był przecież dobroczyńcą Gizeli, opiekował się nią, jak ojciec.

Może w kwadrans później pani Renault była już na drodze do zamku.

Słońce już się kłoniło ku zachodowi, kiedy, wyszedłszy z lasku, zobaczyła przed sobą wspaniały zamek. Szybkim krokiem okrążyła jezioro, które

zamek z jednej strony półkolem otaczało i doszła do parku.

Tam, między dwoma staremi lipami, znajdowała się marmurowa ławka i kiedy pani Renault przechodziła obok niej, wzrok jej padł na jakąś jasno ubraną kobietę. Lekki krzyk wydarł się z jej piersi, bo w siedzącej rozpoznała swoją własną córkę.

Już chciała, za pierwszym serca popędem, rzucić się ku niej i przycisnąć ją do piersi, jednak na czas przypomniała sobie wszystkie okoliczności, które jej nakazywały ostrożność i umiarkowanie.

Z uprzejmem pozdrowieniem zwróciła się do siedzącej:

— Pani hrabino, przynoszę pani...

— Na miłość Boską — przerwała jej hrabina — nie nazywaj mnie pani w ten sposób; byłoby nieszczęściem, gdyby to kto słyszał.

— Tak, a jakże mam panią nazywać?

— Poprostu Laurą, Laurą Materne, bo, oprócz mojego męża, wszyscy uważają mnie tutaj za siostrzenicę młynarza.

— Bardzo dobrze, bardzo dobrze — rzekła pani Renault. I z delikatnym, właściwym sobie uśmiechem, dodała: — Będzie to trudno i muszę dobrze uważać, aby nie wypaść z roli. Bo w głębi mojego serca wyryty jest obraz pani jako hrabiny Mironeau.

Usiadła również na marmurowej ławce.

— Cóż to pani ma za pakunek? — zapytała Laura z uśmiechem.

— To są rzeczy, które do pani należą, a które pani zabrać zapomniała.

Młoda kobieta roześmiała się głośno.

— I dla tych bezwartościowych świstków odbyłaś pani tak długą drogę?

Pani Renault poczęła kaszleć.

— Czyja własność, temu odnoszę. A zresztą może się znajdzie coś, co w oczach pani nie jest bezwartościowem.

Wyciągła z kieszeni pakiecik, owinięty wstążką. Młoda kobieta szybko wyciągła ręce po niego.

— Nie prawda, łaskawa pani, o tem pani nie pomyślała.

— Ach — przerwała jej hrabina — tam są jedynie same papiery, kartki, pisane za moich lat dziecięcych, które mi są drogie, jako pamiątki dzieciństwa, kiedym się pisać uczyła.

Schowała pakiecik do kieszeni.

— A więc podejrzenia moje się nie sprawdziły — rzekła z uśmiechem pani Renault.

— Jakie podejrzenia?

— Że tam są — listy miłosne, wynurzenia młodego, zaledwie ze snu dzieciństwa zbudzonego serca dziewiczego.

Policzki Laury pokryły się nagle rumieńcem.

— Takich listów nie pozostawia się byle gdzie — rzekła, spuszczając śliczną główkę na piersi.

Zwróciła oczy na jezioro, w którego zwierciadle odbijały się czerwone promienie zachodzącego słońca.

Kilka łabędzi pływało po wodzie, a wysokie rokiciny, kołysane łagodnymi podmuchy wieczornego wiatru, grały jakieś rzewliwe melodye.

— Jakże piękny, jak cudownie piękny jest ten boży świat! — rzekła — a pierś jej falowała, przepojona urokiem wieczoru.

Pani Renault czuła, że się zawiodła. Ona przypuszczała, że jej córka wspomni zaraz o liście Hohlfelda i że jego treść będzie stanowiła materyał rozmowy; tak się jednak nie stało, a ona sama nie mogła zacząć o tem mówić, aby nie zdradzić swojej niedyskrecyi.

Tembardziej nie wypadało jej pytać hrabiny o jej przeszłość, bo przecież wobec niej była tylko służącą.

Musiała więc przemódz swoją ciekawość, chociaż tak bardzo pragnęła dowiedzieć się o przeszłych losach swojej ukochanej córki.

— Będę pani bardzo, bardzo żałowała — przerwała wreszcie dosyć długie milczenie. — Już teraz, z powodu nieobecności pani, życie we młynie stało się dla mnie nudnem i nieznośnem.

Powiedziała to takim tonem, że Laura spojrzała nią zdziwiona.

Potem chwyciła nagle suchą rękę pani Renault i rzekła:

— Muszę pani ze wstydem wyznać, że ja o pani dotychczas nie myślałam. Ale mogę panią zapewnić, żem panią podczas naszego krótkiego pożycia, szczerze, serdecznie pokochała. Pani byłaś przecież dla mnie jak matka i z całem zaufaniem dziecka, z całą serdecznością kochającej córki biło moje serce dla pani.

Pani Renault drżała; wzruszenie jej było tak wielkie, że już miała zamiar zedrzeć zasłonę, która między nią a jej córką stała. Wybuchła serdecznym płaczem i ten płacz właśnie ścisnął jej gardło tak, że nie mogła słowa ze siebie wydobyć.

A kiedy się wreszcie uspokoiła, powróciła jej znowu rozwaga, która jej kazała milczeć.

— Ja także — rzekła — miałam kiedyś dobrą, kochaną córkę, ale los mi ją porwał.

— Umarła?

— Ach, nie, żyje jeszcze.

— A gdzież się znajduje?

— Daleko, jednak tak blisko, a tak daleko — szeptała tak bez związku, aż wreszcie zmęczona głowa opadła jej na piersi.

Laura patrzyła na nią zdziwiona. Co mogło ją tak wzruszyć?

— Ile lat mniej więcej ma córka pani? — spytała ze współczuciem.

— Prawie w tymsamym wieku, co pani.

— A jak jej na imię?

— Gizela!

— Ach! piękne imię! Żałowałam nieraz, że mi



Z uprzejmem pozdrowieniem zwróciła się do siedzącej.

na chrzcie nie dano tego imienia — dodała z uśmiechem.

— Laura, to także śliczne imię — rzekła pani Renault. — Łaskawa pani, czy mogę panią o kilka rzeczy zapytać?

— Ależ proszę, proszę. Niech pani pyta.

— Kim byli właściwie rodzice pani?

Hrabina drgnęła, a twarz jej spochmurniała.

— O moich rodzicach mówić nie mogę, a pani wie dlaczego, łaskawa pani.

— Wiem, wiem — mówiła smutno pani Renault. — A czy pani miała jakie rodzeństwo?

— Tak jest, mam brata, który jest odemnie o kilka lat starszy, a nazywa się Henryk.

— Gdzież on jest teraz?

— Wykształcił się na kupca i jest teraz na bardzo pięknej posadzie w pewnym wielkim handlu w Paryżu.

Pani Renault skinęła głową z zadowoleniem.

Przez kilka minut patrzyła milcząc w ziemię, potem nagle podniosła oczy w górę. Chwyciła rękę hrabiny i ze wzrokiem, w którym płonęły jakieś gorączkowe ognie, rzekła:

— Łaskawa pani, czy pani nigdy nie pomyślała o tem, że rodzice pani zostali niesłusznie skazani?

Laura zbladła.

O tej możliwości rzeczywiście nigdy nie myślała.

— Skąd pani właściwie przyszło na myśl to pytanie, łaskawa pani? — zapytała bezdźwięcznym głosem.

— O, to takie jasne; mamy przecież dosyć przykładów, że ludzie, którzy nic złego nie popełniili, byli skazani nieraz na bardzo ciężkie kary, które musieli odpokutować za nieswoje winy.

— Wielki Boże! — Pani Renault — czy pani sądzi, że i moi rodzice...

Wybuchła nagle płaczem i ukryła twarz w dłoniach.

Kiedy ręce opuściła, twarz jej była śmiertelnie blada; straszliwa, a zarazem tak pocieszająca myśl, że jej ojciec niewinnie został ścięty, że jej matka niewinnie musiała znosić męczarnie więzienia — ta myśl wpadła w jej duszę, jak płonący ogień, poruszyła ją i odebrała jej spokój.

— Moja kochana pani, ja nie mówię o rodzicach pani, ale tak w ogólności, że nie zawsze należy rzucać kamieniem potępienia na tych, którzy sądownie zostali skazani.

— To prawda — rzekła hrabina.

— Jako ludzie, sędziowie także mogą się mylić, jak ludzie; a chociaż oni starają się dojść prawdy, to im się to nie zawsze udaje i często zdarza się tak, że myśli ich zaciemnia jakieś fałszywe świadectwo, które ich prowadzi na bezdroża: wtedy i oni mogą się pomylić i skazać kogoś najniesłuszniej.

Laura załamała ręce. Wzruszenie jej powiększało się z każdą sekundą.

— Nietylko w powieściach, ale i w gazetach czytamy nieraz, że takie wypadki zachodziły — ciągnęła pani Renault dalej — i dlatego pani nie powinna odrazu wykluczać możliwości, że także rodzice pani zostali skazani nie jako winni, nie jako zbrodniarze, ale jako ofiary okrutnej pomyłki sądowej.

— Przyszło mi właśnie na myśl — rzekła Laura — że raz czytałam w jakiejś gazecie o takiej pomyłce sądowej, a jednak o tem nie pomyślałam.

— A widzi pani! — zawołała pani Renault z ogniem.

— Czytałam mianowicie, że przed paru laty jakiś człowiek został ścięty na szafocie, a później dopiero okazało się, że on był zupełnie niewinny.

— Tak, tak — takie pomyłki sądowe zachodzą wprawdzie, Bogu dzięki, rzadko, ale zachodzą i już niejeden człowiek musiał oddać swoje życie za nieswoje winy.

Młoda kobieta drgnęła.

— Ach, jeśli i mojego ojca spotkał taki sam straszny los!

Oczy jej napełniły się łzami, a z piersi wyrwało się głośne łkanie.

— Nie, nie, teraz go już nie będę przeklinać, mojego biednego, nieszczęśliwego ojca — już nie będę nienawidzieć mojej biednej matki, nie — będę się za nich oboje modlić, będę błagać Boga, aby był dla nich łaskawy i, jeżeli oni niewinnie musieli odcierpieć za cudze zbrodnie, ażeby zdjął z nich plamę i sprawił, by ich niewinność wyszła na jaw.

Pani Renault chusteczką zatkała sobie usta, ażeby stłumić krzyk, jaki jej ze serca wydzierał.

Młoda hrabina podniosła oczy ku niebu.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Samodzielna Norwegia: Żołnierze norwescy w polu.

Samodzielna Norwegia.

Nadzwyczajne poczucie wolności, formalna niezdolność do znoszenia obcego jarzma, skłoniły Norwegów po raz trzeci w ciągu historycznego rozwoju tej północnej krainy, do zerwania unii ze Szwecyą. Norwegowie, dzisiaj jeden z najbardziej ucywilizowanych narodów w Europie, przed trzema miesiącami ogłosili zerwanie unii ze Szwecyą, przygotowani nawet do najcięższej wojny na wypadek, gdyby Szwecya siłą zbrojną chciała ich zmusić do uległości. Dzięki zabiegom dyplomacyi i króla Oskara nie przyszło jednak do krwi rozlewu, warunki zerwania unii powierzono uchwalić delegatom szwedzkim i norweskim, zebranym na konferencyi w Karlstadzie. Obrady delegatów zakończyły się szczęśliwie i oto od miesiąca Norwegia stała się samodzielnem państwem.

Że do zerwania unii szwedzko-norweskiej, zawartej w roku 1814 przyjść musiało, o tem wiedzieli wszyscy, znający Norwegów i ich zamiłowanie wolności. Norwegowie od szeregu lat przygotowywali się do zerwania ze Szwecyą, a widocznym tego dowodem były twierdze, jakie z każdym rokiem wzrastały na granicy norweskiej. Twierdze te Norwegia od lat czterech stale wzmacniała, aby na wypadek wojny ze Szwecyą, mogła się bronić i to bronić skutecznie. Ponieważ zaś rząd norweski wiedział, że siła zbrojna jaką Szwecya wystawi, conajmniej dwukrotnie przewyższy siły Norwegów, starano się więc na granicy południowo-wschodniej — zwłaszcza na górach, z natury już prawie niezdobytych, budować twierdze, które miały powstrzymać ewentualny napad Szwedów. Twierdz tych powstało w ostatnich latach blisko dwadzieścia, z których największe są Frederiksten i Kongswinder.

W czasie wojny Norwegia może wystawić najwyżej 100.000 wojska. Jest ona zatem znacznie słabsza od Szwecyi, która oprócz 100.000 armii czynnej, może na pole wojny powołać jeszcze przeszło dwieście tysięcy rezerw. Żołnierze norwescy są jednak doskonale wyćwiczeni, poza tem są to ludzie ogromnie wytrzymali, silni i pod tym względem przewyższają żołnierzy szwedzkich.

W uzupełnieniu artykułu podajemy w dzisiejszym numerze fotografie, przedstawiające twierdzę Kongswinder, oraz żołnierzy norweskich w polu.

Związek sokoli.

Wzrost liczby gniazd sokolich, ich ciągły rozwój i postęp, pogłębianie się idei sokolej w społeczeństwie, oto pobudki, które spowodowały, że luzem poprzednio idące gniazda sokole, rozrzucone po całym kraju, złączyły się przed laty dwunastu w jedną silną organizacyę: Związek polskich towarzystw gimnastycznych sokolich. Od tego czasu datuje się jeszcze znaczniejszy, jeszcze potężniejszy rozwój sokolstwa polskiego. Dziś do związku należy 142 gniazd, podzielonych na 7 okręgów. Okręg I. (krakowski) liczy 31 towarzystw z 3223 członkami; okręg II. (tarnowski) 12 towarzystw z 1027 członkami; okręg III. (rzeszowski) 16 towarzystw z 1645 członkami; okręg IV. (przemyski) 18 towarzystw z 1979 członkami; okręg V. (lwowski) 25 towarzystw z 4244 członkami; okręg VI. (tarnopolski) 15 towarzystw z 1793 członkami, wreszcie okręg VII. (stanisławowski) 25 towarzystw z 2729 członkami. Razem tedy wszystkie okręgi i gniazda liczą 16.640 członków. Z wzrostem liczbowym idzie w parze rozwój życia sokolego, poczucie potrzeby łączności i jednolitości działania. Coraz mniej w kraju gniazd, które były raczej kasynami małomiasteczkowemi, kuźnią plotek i zawiści, przedsiębiorstwami przedstawień amatorskich i tp., a coraz więcej gniazd, których żywotność zaznacza są imponującą liczbą ćwiczących członków.

Dowodem tego i wyrazem był ostatni zjazd delegatów związku we Lwowie w niedzielę dnia 8 b. m. Toczyły się one przez cały dzień w gmachu Macierzy sokolej przy udziale 113 delegatów, reprezentujących 71 gniazd związkowych, a pod przewodnictwem zasłużonego prezesa Związku dr. Xawerego Fiszera. Z pomiędzy całego szeregu uchwał, powziętych na tym zjeździe, wyszczególnić należy uchwałę, iż wydział związku obowiązany jest zabierać głos w ważnych chwilach narodowych. Uchwała ta zapadła po długiej i bardzo żywej dyskusyi, wywołanej wnioskami gniazd gorlickiego i lwowskiego I, w których to wnioskach wspomniane gniazda oświadczyły się przeciw umieszczeniu w „Przewodniku gimnastycznym“ jednozgodnej enuncyacyi prasy polskiej z początkiem tego roku wobec wypadków w Królestwie polskiem. Z wniosków tych przyjęto prócz podanej wyżej rezolucyi tylko jeden ustęp, mianowicie: zjazd delegatów uznaje występowanie członków Towarzystw sokolich w artykułach dziennikarskich przeciw postanowieniom władz sokolich za naruszenie karności sokolej.

W numerze dzisiejszym podajemy portrety prezydyum związku oraz naczelnika związku pana Antoniego Durskiego.



Samodzielna Norwegia: Ogólny widok miasta i twierdzy Kongsvinger w Norwegii.

Kongres ziemstw w Moskwie.

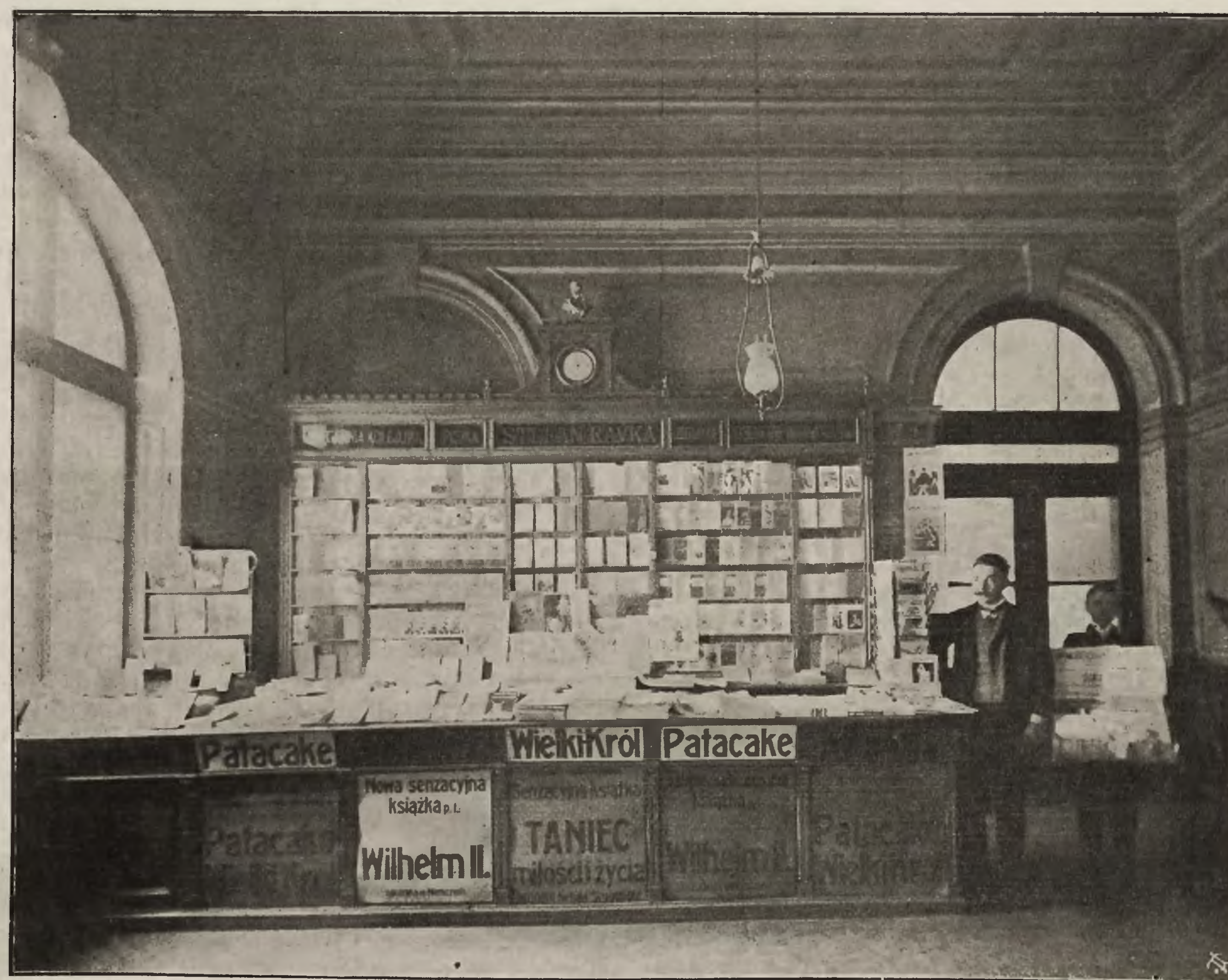
Odrodzenie swoje zawdzięczać będzie Rosya w głównej części wojnie z Japonią. Wojna ta, która w jaskrawy sposób odsłoniła wszystkie rysy w walącym się już gmachu caratu, była zarzewiem rewolucyi, iskrą, która w narodzie rosyjskim obudziła poczucie wolności i żądzę wydobycia się choćby przemocą, choćby przez stosy trupów i rzeki własnej krwi, z pod dręczącego jarzma. Wszystkie żywioły radykalne podniosły głowę, a przedewszystkiem ziemcy. W kilka miesięcy po wybuchu wojny i rewolucyi wewnętrznej Rosyi, kongres ziemstw, zebrany w Petersburgu, uchwalił wezwać rząd do jak najszybszego zwołania dumy państwowej i do zawarcia pokoju. Rząd i car nie zrozumieli doniosłości uchwał ziemców i nie mieli zamiaru według nich postąpić. Zmusiły ich do tego dopiero rewolucya, która wyniszczyła cały kraj i przeciągająca się wojna z Japonią.

W ubiegłym miesiącu zebrał się znowu kongres ziemstw w Moskwie. Obrady, w których brało udział 113 ziemców, odbywały się w pałacu Nowosilcowa od 25 do 28 września. Z pomiędzy ziemców brali w obradach udział obaj bracia książęta Dołgoruccy, książę Szachowskoj, prof. Milijakow, prof. prawa państwowego Maksym Kowalewskij, Wróblewski i Kokoszkin.

Kulminacyjnym punktem obrad była debata nad politycznym programem wyborczym do Dumy. Program ten obejmował następujące punkty: ogólne prawo wyborcze, równe sądy dla wszystkich warstw i wszystkich narodowości, równouprawnienie chłopów z innymi stanami, wolność przekonań, zniesienie systemu paszportowego, zniesienie wyroku śmierci, zniesienie wzmocnionej ochrony i stanu wojennego, oraz przedstawicielstwo ludu w Dumie.

Kongres uznał dalej, że wszystkie narodowości mają prawo używać swego języka czy dyalektu w życiu publicznem, oraz prawo zakładania stowarzyszeń i zwoływania zgromadzeń. Język rosyjski ma być jedynie obowiązujący w rządzie centralnym, w armii lądowej i morskiej. Co do Królestwa polskiego, kongres był zdania, że Królestwu należy nadać osobną autonomię z sejmem złożonym z posłów, wybranych przez powszechne, równe, tajne prawo głosowania. To były najważniejsze punkty uchwał tego kongresu. Przewodniczącym obrad był książę Paweł Dołgoruki.

W uzupełnieniu artykułu podajemy obok illustracyę, przedstawiającą posiedzenie ziemców pod przewodnictwem księcia Dołgorukiego.



Księgarnie kolejowe: Księgarnia na dworcu w Krakowie.

Księgarnie kolejowe.

Ludzie dzisiejsi, ludzie dwudziestego wieku, nie umieją i nie potrafią żyć tak, jak ludzie wieków ubiegłych. Życie nasze jest gorączkowe, nerwowe, bez chwili wypoczynku prawie. I rzeczywiście można zauważyć, że człowiek dzisiejszy nie potrafi siedzieć chwilki bezczynnie. Zawsze musi coś robić, jeżeli nie pracuje fizycznie, to umysłowo. Nawet jadąc koleją na bliższą, czy dalszą przestrzeń, musi mieć przynajmniej gazetę, jeżeli już nie jakąś nowość literacką do czytania. Czytanie stało się konieczną potrzebą podróżujących, którzy, chociaż dzisiejsze środki komunikacyi są ogromnie ulepszone i szybkie, musieliby się nudzić w pociągu, gdyby nie gazeta, czy książka.

Aby tej potrzebie podróżujących zapobiedz, utworzono w ostatnich czasach na wszystkich większych dworcach stałe księgarnie, tak zwane księgarnie kolejowe. Zadaniem ich jest dostarczać podróżnym czasopism, dzienników i książek, szczególnie nowości literackich. Jeżeli ktoś wybiera się np. z Krakowa do Lwowa, to znaczy, że musi najmniej 7 godzin przepędzić w pociągu, to z pewnością kupuje sobie jakąś książkę, której lektura skróci mu ten czas o połowę i ani się spostrzeże,



Zawalenie się mostu na rzece Nekar: Widok mostu po katastrofie.

kiedy dojedzie do celu. A książkę, czy gazetę, może nabyć bardzo łatwo w księgarni kolejowej. Taką księgarnię otworzył na dworcu w Krakowie z filiami na dworcach w Trzebini, Szczakowej i Dziedzicach p. Stefan Kavka, znany wydawca senzacyjnych dzieł, zwłaszcza z literatury zagranicznej. Księgarnie kolejowe p. Kavki są urządzone, jak to widać na załączonych obok rycinach, bardzo estetycznie i zaopatrzone doskonale w wybór nowości literackich w języku polskim, francuskim, niemieckim i angielskim, a prowadzone są nadzwyczaj fachowo. Nakładem p. Kavki wyszło w ostatnich latach kilka dzieł senzacyjnych, że wymienimy jeno „Wielki król Pataśake“, „Wilhelm II“ i inne. Księgarnie p. Kavki mogą śmiało przodować takim przedsiębiorstwom nietylko w kraju, ale i zagranicą.

KRONIKA LWOWSKA.

(Zjazd posłów sejmowych i jego skutki. – Lwów w nocy. – Pan poseł się bawi. – Dlaczego powinna sesya sejmowa trwać dłużej. — Uratowane żołądki. — Precz z lekarzami. — Kawalerskie grymasy, a panieńskie główki. — Czy pani Ćwierciakiewiczowa wystarcza? – Szkoła gospodarstwa domowego a jej prelegenci. – Naftuła Toepfer i Mokrzycki. – Przekroczenie dyr. Grąbczewskiego i jego walka wewnętrzna. — Inna walka pani Bednarzewskiej. — Piękność czy ranga, co lepsze. — Dowcip pani Konstancyi. – Humorystyczne komunikaty Filharmonii i ich fatalny skutek. — Dlaczego publiczność nie przyszła.— Hydrometry we Lwowie. – Co będzie z wodą? – Oszczędni lwowianie. – Skutki zaprowadzenia zegarów wodociągowych. – Kiedy będzie wolno pić? — Oburzenie dzienników. — Nasza zemsta. — Marnowanie wody. – Co musi uczynić obywatel lwowski, aby wyżyć i nie dać się pochować w miejskim zakładzie pogrzebowym. – Kiedy on powstanie?)

Okoliczność, że nasi posłowie zjechali się do Lwowa na sesyę sejmową, podziałała na miasto nasze tak fatalnie, że wielu szanujących się ludzi musiało na ten czas opuścić miasto. Jest bowiem niepodobieństwem wyżyć teraz we Lwowie. Chcesz pójść na operę — niema biletów, sejm w teatrze, chcesz zjeść kolacyę w lepszej restauracyi, niema miejsca, sejm nabiera sił do jutrzejszej sesyi, chcesz odwiedzić tyngel, wszystko nabite, chcesz złożyć wizytę znajomej śpiewaczce, właśnie zajęta, bo podejmuje u siebie młodego posła, starającego się o jej rękę i względy. Trudno o kawałek miejsca, gdzieby się człowiek nie natknął o jakiegoś posła. Bawi się nasz parlament krajowy, a najwięcej bawią się hreczkosieje, którzy poprzyjeżdżali obładowani oszczędnościami długich miesięcy, ażeby zdala od cnej magnifiki puścić się w wir uciech wielkomiejskich, a przyjechali właśnie na czas bardzo stosowny, kiedy stolica ożywiła się na dobre, kiedy rozpoczęto długo zapowiadany sezon operowy, a trzy tyngle walczą ze sobą o lepsze, wystawiając na wabika niezliczone fotografie bosych od dołu i góry „artystek“ na widok publiczny, w oknach sklepowych, w kawiarniach i cukierniach...

Lwów w nocy przybrał fizyognomię prawdziwie wielkomiejską, a krzyżujące się niezliczone dorożki, rozwożą rozbawionych gości z tyngłów... Do domu? Broń Boże! Alež to dopiero pierwsza po północy! A cóżby człowiek w domu robił przez cały wieczór? Toć tyle gościnnych kawiarń wabi zdaleka blaskiem gazowych i elektrycznych lamp... A więc przed jedną, drugą, trzecią kawiarnią zatrzymują się „gumy“ i nie-gumy, a z nich wyskakują łysi donżuani i pomagają wysiadać wiotkim towarzyszkom, o których na szczęście nic nie wie „stara“, śpiąca snem sprawiedliwego sędziego śledczego, już od pięciu godzin w domu. W kawiarniach kipi... Separatki, szczelnie pozamykane, odzywają się od czasu do czasu pęknięciem korka szampańskiego, lub rozgłośnym, srebrzystym śmiechem cnotliwej duszy śpiewaczej, albo wreszcie brzękiem tłuczonego szkła słabych, niewinnych kieliszków... Jak one się cudnie śmieją! Gdzie to tak potrafi która niewiasta ze wsi, pamiętająca o kurach, gęsiach i innych kucharskich sprawach? Jaka to cudowna i pożyteczna instytucya ten sejm!.. Tylko, że ta sesya powinna panie dzieju trwać stanowczo dłużej, choćby 10 miesięcy w roku... Tak duma pan poseł w swojej duszy i myśli o szczęściu wielkomieszczuchów, którzy — trudno uwierzyć — mają codziennie sposobność tak pysznie się ubawić i jeszcze narzekają... Niewdzięcznicy! Socyaliści!

A potem t. j. około godziny 5 rano do domu... Co to za błogi sen po takiej zabawie... Na sesyę czas pójść o godzinie dwunastej, co jest przecie arcymądrem zarządzeniem pana marszałka. On wiedział, że ludzie muszą się bawić, a po zabawie spać trzeba. Gdyby posiedzenie naznaczono np. na dziewiątą, to oprócz kilku staruszków i cnotliwego ks. Stojałowskiego, nie byłoby prawie nikogo... A może...

Jeżeli jednak posłowie nasi psują sobie swoje poselskie żołądki w nocy, to my wszyscy inni, nieposłowie, możemy odtąd o nasze żołądki być całkiem spokojni. Lekarze chorób wewnętrznych, specyaliści katarów żołądkowych, operatorowie krótkowidzących czy ślepych kiszek — ci wszyscy panowie mogą już zawczasu postarać się o posady dyurnistów, bo przyjdzie im wkrótce wyginąć z głodu. Żołądki lwowian są uratowane, a słynny Karlsbad nie zobaczy lwowianina chorego ani przez mikroskop. Bo nasze dobre, kochane panie zauważyły, iż córeczki ich, mimo tylu niezaprzeczonych zalet, pomimo dobrego wychowania i wykształcenia, często nawet akademickiego, nie mają możności po zamążpójściu uszczęśliwić swoich mężów w zupełności. Mężowie bowiem dzisiejsi miewają dziwne wymagania. Nauczyli się, kawalerami będąc, grymasić po restauracyach, nazywać pieczeń podeszwą, rosół deszczówką, legruminę wystrzelonym fajerwerkiem, nauczyli się za lada przepalenie rzucać kelnerowi talerz w głowę, cóż dopiero mówią, czy chcą mówić, gdy obiady i kolacye sporządza nie stara, renomowana kucharka restauracyjna, ale młoda panienka, która zna i chemię i trygonometryę, czytała klasyków rzymskich i greckich, z Odysseuszem cierpiała, spała z Horacym, marzyła o pieśniach Owidyusza, kochała platonicznie Apollina, przyrównywała siebie do milońskiej Wenery w lustrze, śmiała się do rozpuku z krzywego Hefajstosa... Gdzież ją postawić przed kuchnią i kazać gotować. Co najwyżej może dozorować kucharkę i dziwić się, że ona (t. j. kucharka), przyrządzając jakąś potrawę, już naprzód wie, co z tego wyjdzie... Cóż dopiero, gdy stosunki męża nie pozwalają opłacać się grubo dobrej kucharce, a tani „szturpak“ gotować nie umie i czeka rozkazów samej gosposi. Wtedy przychodzi kolej na ś. p. panią Ćwierciakiewiczową, której nieocenioną książkę p. t. „365 obiadów“ radził p. F. Jasieński przerobić na operę jako *pendent* do „Szopena“, a o ile w tej książce nie ma omyłek druku (proch zamiast groch, flaszki zamiast flaczki i t. d.), o ile głębokie myśli w niej zawarte mogą się obejść bez komentarza encyklopedyi, o tyle z kuchni na stół dostaje się coś, co młodemu mężowi staje kością słoniową w gardle... Te oto były powody, które skłoniły grono myślących pań do założenia szkoły gospodarstwa domowego, w której panny będą mogły praktycznie wyćwiczyć się na bajeczne gosposie. Szkoła zaangażowała rozmaitych prelegentów, przeważnie profesorów uniwersytetu, których zadaniem jest teoretycznie komentować dzieło pani Lucyny Ćwierciakiewiczowej, przy zastosowaniu wszystkich zdobyczy najnowszej nauki chemii, fizyki, botaniki, mineralogii, geografii i zoologii. O kurs praktyczny ubiega się znany, renomowany restaurator tutejszy p. Michał Szymon Toepfer, który zainauguruje swoje wykłady odczytem, zatytułowanym: „Masło czy margaryna i ich wpływ na literatów lwowskich“. Kurs skrobania kartofli, kiszenia ogórków i tłuczenia jaj, obejmuje jeden z celniejszych dziennikarzy lwowskich, a naukę bicia bydła, rżnięcia drobiu i deklamacyi (na deser) bierze radny pan Mokrzycki. Inne wykłady są jeszcze do obsadzenia.

Można sobie wyobrazić radość lwowskich kawalerów, którzy dotąd obawiali się żenić, patrząc na swych żonatych kolegów, jakby dynamitem nadzianych po każdym obiedzie...

Radość ta jednak niczem jest w porównaniu z radością, jaka zapanowała za kulisami teatralnemi na onegdajszem przedstawieniu opery, kiedy to p. Grąbczewski, dyrektor opery, który srogo i to pod grzywną zakazał „bisować“ na brawa, sam powtórzył całą pieśń... Soliści pękali ze śmiechu, a nasze chórzystki z radości powyrywały sobie wszystkie siwe włosy. Ustawiona na galeryi klaka tak mocno klaskała, iż klakierom popuchły ręce i po następnym akcie musieli dla wypełnienia swojej funkcyi bić się przez pięć minut w policzki. Ale efekt był kolosalny...

Że zaś p. Grąbczewski pozwolił sobie na przekroczenie przepisu, to wytłómaczył prof. Niewiadomski walką wewnętrzną, jaka się rozegrała po olbrzymich brawach klaki, w t. zw. duszy dyrektora śpiewaka w jednej osobie. Pan Niewiadomski twierdzi, że w tym wypadku śpiewak zwyciężył dyrektora. Śpiewak chciał powtórzyć pieśń, a dyrektor chciał jeszcze więcej — dyrektor ustąpił, śpiewak powtórzył... a p. Niewiadomski zgadł.

Podobną walkę wewnętrzną musiała onegdaj stoczyć pani Bednarzewska. Siedziała w większem towarzystwie. Ma się rozumieć: Nowacki, Pawlikowski, Wojnowska i t. d. Do tego towarzystwa „przyczepił się“ jakiś jegomość, który umie być nie tyle dowcipnym, ile złośliwym bezwiednie... Mówiono o artystkach.

— Dziwna rzecz — zauważył ów pan — że wielka artystka nigdy nie jest piękną kobietą i na odwrót piękna kobieta nigdy nie będzie wielką artystką...

Ponieważ nie mogło tu chodzić o pannę Wojnowską, więc pani Bednarzewska wzięła tę uwagę na swój adres. Co lepsze? Czy wyrzec się rangi wielkiej artystki a zostać przy piękności, czy powiedzieć sobie, a raczej dać sobie powiedzieć: jesteś wprawdzie wielką artystką ale — darujesz — nie piękną.... Trzeba właśnie być panią Bednarzewską, ażeby nie mieć gustu wyrzekać się dla czyjejś zachcianki ani jednego ani drugiego... To też po bardzo krótkim namyśle odpowiedziała z przekąsem, ale tremolando: — Dziwna rzecz, że mądrzy ludzie nie zawsze mówią aforyzmami i na odwrót, ludzie mówiący aforyzmami nie zawsze są mądrzy....

Trzeba przyznać: udało się. Jeżeli to tak było powiedziane...

Natomiast nie udało się naszej Filharmonii z ostatnimi dwoma koncertami pomimo, że p. J. K. Zieliński już na dwa tygodnie przed koncertami codziennie wysyłał się na humorystyczne komunikaty w dziennikach, zapowiadające przybycie Mesyasza i doradzające jak najszybsze wystaranie się o bilety, bo „już wnet zabraknie“. Ale lwowska publiczność obawia się ścisku.... A potem komu chciałoby się dziś aż śpieszyć się zdobywać bilety, aby pójść na koncert tylekroć słyszanej Gemmy albo Kruszelnickiej. Niech się inni pchają — powiedziała sobie publiczność i nie poszła. Ale tak powiedzieli sobie wszyscy.... I były pustki straszne w sali lwowskiej filharmonii na obu koncertach, jakich nie pamięta żaden portyer teatralny.... Teraz dyrekcya żałuje, że komunikatami straszyła ludzi. Odtąd już nigdy nie przeczytamy, że „zabraknie wnet biletów“.....

Widzę jednak, że już jestem na ukończeniu dzisiejszej kroniki a nie wspomniałem jeszcze nic o naszej radzie miejskiej i jej sprawach. Otóż najnowszem jest zamierzone wprowadzenie hydrometrów t. j. zegarów wodociągowych. Nowość ta ma na celu zapobieżenie marnowaniu lekkomyślnemu wody, a choć z tego względu zasługuje na poparcie, to ma inne strony ujemne, które gotowe fatalnie odbić się na mieszkańcach stolicy. Wiadomo bowiem, że lwowianie są bardzo oszczędni, niektórzy nawet skąpi. Gdy więc przyjdzie im za każdy litr zużytej wody płacić, to zachodzi obawa, że przestaną pić, gotować, myć się, prać bieliznę, golić się — słowem przestaną żyć. Wymrą z głodu, z pragnienia i brudu. Dotąd mógł przynajmniej taki pan wypić dziennie bezkarnie kilka konewek wody i cały dzień chlapać się w wannie. Odtąd i to będzie opodatkowane. Taki dyurnista, taki nauczyciel ludowy lub urzędnik kolejowy, taki auskultant sądowy, czekający na awans i utrzymywany przez swojego ojca emerytowanego urzędnika bankowego — te wszystkie głodomory, będą musiały teraz liczyć się i pić wodę tylko w niedzielę i święta. Niemniej oburzone są nasze dzienniki, które — jak wiadomo, najwięcej używają wody.

Na szczęście nie rychło to jeszcze nastąpi, a do tego czasu mścimy się na naszym magistracie i jego wodociągach, ile możemy, rozlewamy ją na wszystkie strony, napełniamy nią oracye, dzienniki, dzieła, a to, ażeby przynajmniej do czasu wprowadzenia hydrometrów wyschły wszystkie źródła wodociągowe na nic.

Tak jest, stosunki we Lwowie z każdym dniem są nieznośniejsze, a o ile kto zawczasu nie postara się o agencyę fałszywych 50-koronówek, to wypadnie mu zjeść po kolei żonę, teściową, wszystkie dzieci, kucharkę, kominiarza, a na samym końcu siebie, ażeby nie potrzebował czekać na miejski pogrzeb w miejskim zakładzie pogrzebowym, który powstanie wtedy, kiedy ludzie umierać przestaną...

Klewe.

Łatwe do zrozumienia.

Sprawa rozwodowa profesora X. narobiła swego czasu bardzo wiele hałasu. Interesowano się nią ogromnie, bo profesor K. człowiek nadzwyczaj popularny, był lubiany powszechnie. Zaciekawienie wzmagało się tem bardziej, że zacny profesorek dwa razy cofał podanie rozwodowe.

— Czy to prawda — powiada jeden z jego znajomych – że profesor K. nie mógł w ostatniej chwili rozstać się ze żoną?

— Czy ze żoną — to wielkie pytanie — odpowiada zapytany — zdaje się, że z posagiem!



Milionowy złodziej: Jan Galley, który skradł milion frank.



Rabin Schmelkes: Pochód pogrzebowy obok teatru miejskiego we Lwowie. (Treść na str. 3)

Milionowy złodziej.

Żądza życia bez troski i używania niejednokrotnie już pchnęła ludzi w objęcia zbrodni. Bo żyć wesoło można jedynie wtedy, gdy się ma pieniądze, o które dzisiaj, niestety, tak trudno. Żądza używania za wszelką cenę każe ludziom przedewszystkiem starać się o pieniądze bez względu na sposób ich zdobycia, oszałamia ich i robi zbrodniarzami, gdyż w dzisiejszych czasach trudno się nagle i bez pracy wzbogacić. Przykładem tego jest wypadek, jaki poniżej opisujemy.

Pewnego dnia zaalarmowała cały Paryż wieść, że w Banku dyskontowym, jednym z największych banków paryskich, skradziono milion franków. Podejrzenie o kradzież padło natychmiast na kasyera, Jana Galleya, który w krytycznym dniu nie zjawił się w urzędzie. Poruszono tedy wszystkie organa policyjne, rozpuszczono pościg za złodziejem, ale mimo wszelkich wysiłków nie udało się go schwycić. Dopiero po pewnym czasie dowiedziały się władze bezpieczeństwa, że Galley umknął z Paryża wraz ze swą kochanką Walentyną Merelli na automobilu i przed poscigiem władz schronił się — na morze. Mianowicie Galley, przybywszy do najbliższego miasta portowego razem z kochanką, udał się do biura Towarzystwa okrętowego, przedstawił się za bogatego bankiera i wynajął od tego Towarzystwa okręt, który miał być dla niego arką ocalenia. Jako właściciel jachtu, miał całą załogę, którą ujął sobie pieniądzmi i kapitana na swe usługi i puścił się na wędrówkę po morzu, pewny, że na bezmiernej przestrzeni wód ujdzie rąk sprawiedliwości.



Milionowy złodziej: Walentyna Merelli, kochanka Galleya.

Ale rachuby go zawiodły. Kiedy bowiem statek jego zawinął do Brazylii, władze brazylijskie, powiadomione o wszystkiem przez władze francuskie, aresztowały go wraz z jego kochanką. Galley próbował uwolnić się, podając, że jest tylko przestępcą politycznym, ale zatrzymano go w więzieniu i rozpoczęto śledztwo, które wykazało, że aresztowany jest właśnie złodziejem miliona w Paryżu.

Rozpoczęły się więc pertraktacye między władzami francuskiemi a brazylijskiemi, których rezultatem było wydanie Galleya, jego kochanki i jej służącej władzom francuskim. W ubiegłym tygodniu przewieziono ich do Paryża i osadzono w więzieniu śledczem.

* * *

W uzupełnieniu artykułu podajemy obok fotografie Galleya, jego kochanki Walentyny Merelli i jej służącej Maryi Audot.



Milionowy złodziej: Marya Audot, służąca Merelli.



Rabin Schmelkes: Pochód pogrzebowy w ulicy Rzeźnickej. (Treść na str. 3).



Fot. M. Münz. Lwów.
Sejm galicyjski: Foyer w gmachu sejmowym w dniu otwarcia bieżącej sesyi.



Księgarnie kolejowe: Księgarnia St. Kavki na dworcu w Dziedzicach.

Pogrzeb generała Kondratenki.

Podczas dziewięciomiesięcznego oblężenia twierdzy portarturskiej i po jej zdobyciu niejednokrotnie wspominano nazwisko generała Kondratenki. W czasie oblężenia wspominano o nim nawet częściej, aniżeli o głównodowodzącym gen. Stoesslu. Cóż. to była za osobistość?

Kapitulacya Portu Artura rzuciła na wszystkich generałów rosyjskich, którzy tak dzielnie kierowali obroną tej twierdzy, bardzo złe światło. Okazało się, że nie było tam właściwie ani jednego dowódcy, któryby dorósł do wysokości powierzonego mu zadania. Sam Stoessel okazał się jeno zwyczajnym stupajką rosyjskim, który dbał tylko o swoje skarby i gospodarstwo, wcale zresztą niemałe swej żony. Wedle opowiadań żołnierzy portarturskich, jeden tam był tylko generał, który rzeczywiście myślał o obronie twierdzy i który całą siłą starał się powstrzymać napór zwycięskich Japończyków. Był to generał Kondratenko, żołnierz w całem tego słowa znaczeniu, ulubieniec żołnierzy i dlatego właśnie znienawidzony przez sztabowców w rodzaju gen. Stoessla. Kondratenko był duszą obrony. On zjawiał się wśród gradu kul w najbardziej zagrożonych miejscach i własnem męstwem zachęcał żołnierzy do walki. Dopóki on żył, panowały w Porcie Artura wśród żołnierzy zapał i męstwo.



Pogrzeb generała Kondratenki: Przeniesienie trumny ze zwłokami zmarłego generała z pokładu „Munch'a" na ląd w Odessie.

Ale Kondrateńko zginął śmiercią walecznych. Po jego śmierci odrazu się wszystko w Porcie zmieniło. Żołnierze sposępnieli, nie bronili się już, jak przedtem, bo nie było nikogo, ktoby im mógł dać taki przykład i tak ich do boju zagrzewać, jak Kondrateńko. To też z pomiędzy wszystkich dowódców portarturskich, jeden jedyny Kondrateńko zasłużył sobie na nimb bohaterstwa, jaki otacza jego imię i po śmierci.

W ubiegłym tygodniu przewieziono zwłoki zmarłego generała do Odessy, na statku niemieckim „Munch“, skąd przetransportowano je do Petersburga, gdzie je uroczyście pogrzebano.

Zamieszczona w dzisiejszym numerze illustracya przedstawia rodzinę gen. Kondrateńki, t. j. wdowę z synem i innych krewnych, przy przeniesieniu trumny z okrętu na brzeg w Odessie.

Zgon rektora uniwersytetu moskiewskiego.

W ogólnym ruchu społecznym, zmierzającym do odrodzenia Rosyi, wybitną rolę odegrał rektor uniwersytetu w Moskwie, kniaź Trubeckoj. Był to jeden z najbardziej radykalnych uczonych, mąż bardzo światły, a przytem mający odwagę idee swoje, wrogie caratowi, wszczepiać uczniom z katedry i w codziennem życiu. Cieszył się też ogromnym szacunkiem i miłością wśród całej młodzieży, która miała w nim nietylko doskonałego profesora, ale również dobrego przyjaciela i opiekuna. W ostatnich czasach, kiedy rewolucya zatrzęsła podwalinami caratu, brał książe Trubeckoj energiczny udział w życiu społecznem, co mu ułatwiała znakomita wymowa, którą podbijał serca słuchaczy.

Ruchliwe, gorączkowe życie, pełne niebezpieczeństw, bo każde śmielsze odezwanie się publiczne groziło mu więzieniem, spowodawało, że książę Trubeckoj zapadł w ostatnich czasach na zdrowiu. Każda dłuższa mowa męczyła go i rozdrażniała do tego stopnia, że przez dłuższy czas nie mógł się uspokoić. W ubiegłym tygodniu na jednem ze



Zgon rektora uniwersytetu moskiewskiego: Zmarły nagle podczas obrad w Petersburgu książę Trubeckoj.

zgromadzeń w Petersburgu wygłosił również mowę, jak zwykle podniosłą i wielkich pełną myśli, ale gdy ją skończył i usiadł, padł rażony atakiem apopleksyi. W poniedziałek odbyła się transportacya zwłok zmarłego rektora na dworzec kolei moskiewskiej – książę Trubeckoj będzie bowiem pochowany w Moskwie. Transportacya ta była wspaniałą manifestacyą; takiego pogrzebu narodowego Rosya jeszcze nie widziała. Wzięło w nim udział kilkadziesiąt tysięcy ludzi ze wszystkich warstw społecznych. Wieńców było z górą tysiąc, a w tej liczbie wspaniały wieniec z napisem w języku polskim: „Młodzież polska wybitnemu człowiekowi na znak wdzięczności“ — od studentów Polaków z Warszawy. Porządek w pogrzebie utrzymywali studenci, przyszło jednak do zajść z policyą, które na szczęście nie przybrały większych rozmiarów.

W uzupełnieniu artykułu podajemy obok portret księcia Trubeckiego.

Sejm galicyjski.

Nie tak uroczyście, jak w latach innych, rozpoczęły się posiedzenia tegorocznej sesyi sejmowej. Przyczyną tego była okoliczność, że sesya obecna jest dalszym ciągiem sesyi zeszłorocznej, odroczonej po kilkotygodniowych obradach. Mimo to, w dniu otwarcia sejmu ruch we Lwowie był bardziej ożywiony, głównie z powodu zjazdu posłów i ziemian, a z ratusza i gmachu sejmowego powiewały flagi o barwach krajowych.

W samym sejmie wrzało w tym dniu od rana. Posłowie, zebrani w kuloarach, rozprawiali żywo o sytuacyi politycznej, o wypadkach na Węgrzech, o stosunku do Rusinów, o demonstracyach za powszechnem prawem głosowania do ciał ustawodawczych, demonstracyach zapowiedzianych przez partyę socyalno-demokratyczną.



Fot. „Kordyan“. Lwów.

Sejm galicyjski: Izba sejmowa w czasie mowy marszałka hr. Badeniego (1), w dniu otwarcia sesyi. Obok namiestnik A. hr. Potocki (2), w pośrodku komisarz rządowy hr. Łoś (3). Między posłami wiryliści ks. arcybiskup Bilczewski (4) i Teodorowicz (5). W środku ława stenografów (6), w głębi ława dziennikarska.

Około 11-tej przed południem sala sejmowa i wszystkie galerye oraz loże, były szczelnie wypełnione. Zajął swe miejsce marszałek kraju Stanisław hr. Badeni, przybył też namiestnik Andrzej hr. Potocki, oraz komisarz rządowy wiceprezydent namiestnictwa Wł. hr. Łoś. Trzykrotne uderzenie laską marszałkowską obwieściło rozpoczęcie posiedzenia. Nastąpiły przemówienia marszałka i namiestnika, poczem sejm przystąpił niezwłocznie do regularnej pracy.

Posłowie zjawili się na pierwszem posiedzeniu prawie w komplecie. Brakło tylko kilku, którzy otrzymali urlop, między tymi naturalnie, stale się urlopujący poseł m. Lwowa, minister Piętak. Z wirylistów przybyli prócz przedstawicieli świata naukowego, księża arcypiskupi Bilczewski i Teodorowicz.

W składzie sejmu zmiany od zeszłego roku bardzo nieznaczne. Przybyli dwaj nowi posłowie: ks. Wesoliński i p. Kazimierz Obertyński (następca b. prezesa Koła polskiego ś. p. Apolinarego Jaworskiego). Po prawicy, gdzie zasiadają posłowie konsrwatyści, jedno miejsce wolne po ś. p. pośle Skrzyńskim, który posłował z miast Jasło i Gorlice, a którego następcy dotychczas nie wybrano.

Posłowie ruscy, zajmujący miejsca po lewej stronie izby, między ludowcami a centrum katolicko-ludowem, zjawili się również w komplecie. Wyróżniają się wśród nich postacie posłów włościańskich Huryka i Barabasza, odzianych jak zawsze w brunatne sukmany, bogato czerwonemi sznurami zdobione. Stanowisko jednak posłów ruskich wobec tak drogiej nam sprawy Wawelu, stanowisko wyrażone w deklaracyi, odczytanej przez posła dra Oleśnickiego, zaostrzyło bardzo stosunek między nimi a posłami polskimi, stosunek i tak nie bardzo dobry.

Poza tem — w sejmie dotychczas nie zaszło nic nadzwyczajnego, praca toczy się spokojnie i normalnie.

Załączone ryciny przedstawiają izbę sejmową w dniu otwarcia sesyi w chwili przemówienia marszałka hr. Badeniego, oraz foyer w gmachu sejmowym.

Zygzakiem.

(Głosy jesieni. — Sprawa nauczycieli w sejmie odesłana do komisyi szkolnej. — Po rozprawie Angelusa. — Prywatny polski teatr w Warszawie.

Po fejletonach dzienników, tygodników, miesięczników rozsnuło się już „babie lato“ jesiennych refleksyi, obrazków, nastrojów... Zewsząd brzmi muzyka jesiennego liścia, podmuchy chłodnych wiatrów, chłód zimnej rosy, zewsząd woła na nas *memento mori*, choć ani piszący ani czytający nie biorą tego *memento* bardzo na seryo.

Mieszczuchy całego świata a już najbardziej my Polacy, lubimy ogromnie nastroje i nie bez racyi. Nastrój jest słońcem słodkiej bezczynności, w którym „nastrojonemu“ przecież się wydaje, że jest wtedy lepszym i większym od siebie samego i wielu innych. Niekiedy ma się złudzenie, że w takiej chwili nastroju rodzą się wielkie, zbawcze idee, które, jeśli nie ludzkość, to przynajmniej jeden naród lub jego odłam poprowadzą na nowe drogi... Do słońca więc „nastrajamy“ się chętnie, lubimy ten sztuczny rozdźwięk między zdrowem życiem i jego prawami a naszym „literackim“ sposobem myślenia lub odczuwania naszym schorzałym czy znużonym systemem nerwowym... Osiąga się bowiem przez tę „dysharmonię“ człowieka ze światem, wszystko, co zechce ludzka zarozumiałość: poczucie wyższości nad codzienne wydarzenia, tęsknotę za „czemś lepszem“ a więc oczywisty dowód „nieśmiertelnej istoty“ człowieka, umiarkowane, delikatne wyrzuty z powodu minionych zaniedbań a przez to złudzenie, że duch się podnosi... Jeżeli dodamy do tego cały obszar podniet erotycznych, to nie dziw, że nauka pisania wydaje tak obfite plony w nowelach, sonetach, pieśniach, krajobrazach i *cabaretach* à la Jan August Kisielewski... Nie dziw, że młody poeta p. Jan Pietrzycki opisuje babie lato w Japonii, chociaż tam nigdy nie był... Fantazya, nastrój zastępuje wrażenia słuchu i wzroku...

Jesień, tak zwana „polska“ jesień, (my Polacy lubimy ogromnie narodową etykietę) jest wymarzonym podkładem dla marzeń... Po niebie i ziemi snują się barwy jaskrawe, dawno nie widziane, wieczorne chłody przynoszą tęsknotę za ogrzanym pokojem, jasnym ogniem na kominku, a u młodych także pragnienie samotności przy takim ogniu... we dwoje... Ludzie, którzy sądzą, że powinni głośno wypowiadać się wobec społeczeństwa, aby go nie pozbawiać „nowych“ idei, powiadają sobie: „Jutro biorę lutnię w rękę, bułkę z szynką i butelkę wina do kieszeni i idę na poblizką górę... Będę marzył i pisał à la Tetmajer po 10 kopiejek od wiersza...“ I idą... Nie dziw, że tyle potem pieśni, tyle jęków, tyle skargi... „Oj, oj, jacy mu ludzie biedni, jak my nie wiemy, co nas czeka, ile to myśli przemknęło i nigdy nie wróci, ile tęsknot za słońcem zagasło, ile uczuć rozwiał wiatr jesienny, oj, oj, oj... Razem 50 wierszy... czyli, rubli srebrnych pięć...

Chłop polski czy niemiecki (my mówimy polski, bo lubimy narodowe etykiety bite masowo, więc tanie), nie nastraja się na smutki i jęki jesienne, bo niema na to czasu bo pracuje... Ale za to odczuwa wszystko dokoła lepiej i prawdziwiej... A to prawdziwe odczuwanie, nie smutek, ale radość i siłę w nim budzi... Ma poczucie uroczystej chwili, w której przyroda po trudach lata do spoczynku zimowego się gotuje, ma świadomość dobrze przepracowanych dni ubiegłego lata, ma dumę ze świadomości zebranych własną pracą plonów i poczucie siły i niezależności przy jesiennym siewie... Dla niego jesień jest równie piękności i życia pełna, jak wiosna i lato; taka sama godzina pracy, taki sam, jak inne, okres działania a nie lamentów i nastrojów... po dziesięć kopiejek od wiersza...

Sądzę, że ludzie zdrowi i do prawdziwego ukochania życia zdolni, ci, którzy pracują z miłością dla siebie i drugich, ludzi zdrowych, nie smutek, ale radość i siłę czerpią z barw i melodyi jesiennych. Radość z pożytecznie spędzonego roku, radość z poczucia zdrowia siły, nawet radość na myśl, że znowu jeden rok życia przeminął w potężnym, pięknym ruchu wszechświata Myśl, że się także przejdzie i spocznie, jest piękną, jeśli się rozważy, że to wielkie obejmuje wszystko i wszystkich, małe robaczki i wirujące światy — nawet bogi...

* * *

Pod naciskiem babiego lata zebrał się sejm galicyjski na obrady, otwierane jak wiadomo, zawsze z fantazyą, w kołpakach i żupanach, przy brzęku karabel, nawet o ile mi się zdaje, uroczystem nabożeństwem, mającem na celu uproszenie Opatrzności o rzecz niezmiernie do osiągnięcia trudną, o ile jej nie było od początku: o rozumne natchnienie. Potem oczywiście nastąpi wylew mów, objawy lojalności i dużo, dużo rozpraw na temat narodowych ideałów... Potem nareszcie drobny, ciepły deszcz z tej wielkiej chmury. Obrady sejmowe zaczęła „konserwa galicyjska“ od wniosku p. Leopolda Jaworskiego w sprawie polepszenia bytu nauczycieli. Lepiej późno, niż nigdy, warto jednak przypomnieć, że do niedawna stanowisko większości sejmowej w tej sprawie było wręcz odmienne, że statysta polski p. Bobrzyński, jako wiceprezydent Rady szkolnej krajowej wyrażał głośno zdanie, że żądania nauczycielstwa są nieuzasadnione, że byt ich jest wcale dobry i że nie należy ich psuć dobrobytem, bo ustanie chęć do pracy a zbudzą się niepożądane pragnienia, jak: chęć brania udziału w życiu politycznem i towarzyskiem, a może nawet kandydowania na godności autonomiczne. Gdy zaś nauczycielstwo na ogół jest żywiołem demokratycznym, więc p. Bobrzyński wśród potakiwania prawicy sprzeciwiał się stanowczo takiemu „rozwydrzeniu“ nauczycielstwa.

Cóż zatem wpłynęło obecnie na konserwę, że pozwoliła swemu adoptowanemu synkowi Leopoldowi Jaworskiemu, kandydatowi na wiceprezydentrę Rady szkolnej krajowej — na postawienie takiego wniosku? Czyżby istotnie zmieniono przekonanie o wybornej dotacyi nauczycielstwa? Ej nie... Sądzę, że rzecz jest inna, a sądzę tak dlatego, że w całej tej robocie niema jakoś szczerości. Jeżeli bowiem raz się uzna, że nauczycielstwo galicyjskie jest upośledzone w wynagrodzeniu za pracę i wyzyskiwane, w takim razie należy ten stan rzeczy usunąć z możliwą szybkością, o ile tylko da się zwalczyć stałe przeszkody do szybkiego załatwienia rzeczy, stworzone przez system obrad i komisyi parlamentarnych. Odsyłanie wniosków do komisyi bez uchwalenia nagłości, stoi w sprzeczności z tem, co p. Jaworski obecnie na ten temat głośno mówi... Nasuwa się przeto podejrzenie, że ta historya nie jest niczem innem, jak ubezpieczeniem na zbliżający się termin wyborów do parlamentu. Nauczycielstwo ludowe jest coraz żywszym i tęższym żywiołem agitacyjnym, a niema bynajmniej powodu i podniety do rozczulania się nad kandydatami konserwy. Idzie zatem o ich przejednanie. Prawda, że najskuteczniejszem ich przejednaniem byłaby doraźna reforma płac nauczycielskich. Ale takie przejednanie byłoby bądź za „drogie“, bądź za radykalne. Pocóż dawać już teraz, kiedy jeszcze na bunt ani strejk się nie zanosi..

Obieca się i będzie ten sam skutek; położy się tamę rozbujaniu demokratyczno-radykalnych kierunków podczas wyborów wśród galicyjskiego nauczycielstwa.

Czy nauczyciele nasi złapią się na ten lep i w nadziei spełnienia luźnych obietnic znowu będą bierni w okresie wyborczym na korzyść „konserwy“ — przyszłość okaże.

* * *

Kilkunastodniowa rozprawa przeciw byłemu dyrektorowi zakładu zastawniczego, Angelusowi, skończyła się wyrokiem, zasądzającym obwinionego na ciężką karę czteroletniego więzienia. Zakład zniknął z widowni, a z nim stoczył się w zapomnienie cały łańcuch szkód, nadużyć i krzywd, wyrządzonych najbiedniejszej warstwie ludności. Nasuwa się jednak wątpliwość, czy ciężka kara, która spotkała niezawodnie winnego Aagelusa, nie obciążyła nad miarę jednego, podczas gdy inni, którzy zbierali obfite żniwo na tem szerokiem polu nadużyć, wyszli z korzyścią i cało? Mam na myśli tych, o których w tym całym procesie mówiono jak najmniej, tych szumnych „dyrektorów“, którzy lokowali u Angelusa swoje kapitały na 10⁰/₀, tych tajnych wspólników z Krakowa i Podgórza, którzy dawali do spekulacyi sumy posagowe swoich „dobrze urodzonych“ cór, tych wszystkich, którzy przecie z oczywistą wiedzą prowadzili z Angelusem prywatny handel kosztownościami itd. itd.

Bezwzględna sprawiedliwość ma być do wszystkich stosowana i dlatego zarzucićby można, że położono śledztwu tamy ze względów, które ze sprawiedliwem sądzeniem nie mają nic wspólnego. Takie objawy występują niestety zbyt często w sprawach u nas sądzonych, jeżeli tylko wchodzą w grę jakieś osobistości.. Nie dziw, że surowy wyrok na jednego tylko, budzi reakcyę w opinii publicznej, i po części przerzuca ją na stronę zasądzonego. Któż wie, czy zasądzony Angelus nie jest jeszcze lepszym od drugiego swojego kolegi-dyrektora Józia Górskiego, znanej na krakowskim bruku figury, który wczesną ucieczką zagranicę uwolnił Kraków od swojej osoby. Kto wie, czy chciwość, którą zarzucono Angelusowi jako zbrodnię, odbiegła daleko od moralnej wartości tego samego uczucia, które skłaniało krakowskich dorobkiewiczów i utytułowanego spekulanta z Podgórza, do ciągnienia zysków z „nadwyżek“ i „kosztów licytacyi“, wydrapywanych ze skóry najbiedniejszych...

Oby z tej sprawy jedna utrzymała się nauka, aby przynajmniej nadawaniu takich koncesyi przez świetne Namiestnictwo, przestały u nas decydować tylko protekcye babskie lub polityczne. Podobno są już w toku starania o taki sam zakład i to znowu ze strony „protegowanych“. Niechże przynajmniej Wysokie Namiestnictwo nie polega w tym względzie na opinii p. hr. Starzeńskiego, c. k. starosty z Podgórza!

* * *

Wiadomości z Warszawy stwierdzają, że sprawa polskiego prywatnego teatru weszła już na drogę urzeczywistnienia. Rzecz doniosła i pożądana, nowe pole dla rozwoju polskiej sztuki i nowa dziedzina działania dla polskich talentów aktorskich. Mniej przyjemnem będzie otwarcie nowego teatru w Warszawie dla niektórych przedsiębiorców teatralnych, żywiących się wyzyskiem ludzkiej pracy, dzięki galicyjskiemu kartelowi dyrektorów teatralnych.

Prywatny polski teatr w Warszawie stanie w ciągu dwóch lub trzech lat. Fakt ten wywoła z pewnością ruch między personalem teatru krakowskiego, w którym obecnie panują takie przykre stosunki z powodu obniżenia płac, wielkiego wyzysku sił i pomijania wybitnych talentów aktorskich *ad usum* talentów kanonizowanych przez dyrekcyę. Teatrowi krakowskiemu grozi zatem poważne niebezpieczeństwo, że jeszcze ostatnia garstka dobrych artystów i artystek wyniesie się do Warszawy. Przedsiębiorstwo teatralne powinno się z tym faktem poważnie liczyć i zmienić dotychczasowy system postępowania. *Vide.*

Przeciwieństwo.

Pani Amelia: Mawiają, że często właśnie ludzie wprost przeciwnego sobie rodzaju tworzą najszczęśliwsze stadła!

Pan Jan: Tak, tak! Ja też poszukuję żony z dużemi pieniądzmi...

Jacques van Lier.

Wiolonczella jest jednym z tych instrumentów, do którego niewiele muzykalnych jednostek zwraca się, aby uczynić go powiernikiem swych myśli i uczuć i na nim wyśpiewać i uzewnętrznić, owych myśli i uczuć, kwiaty. Co prawda, żaden może z instrumentów, na którym produkują się artyści i wirtuozi, nie wymaga tyle pracy wspartej talentem i wytrwałością — co wiolonczella. Dziś na wszechświatowem targowisku talentów wirtuozowskich znajdzie się olbrzymią ilość wirtuozów, na wszelakich instrumentach — najmniej jednak wiolonczelistów. — Podobnie jak przy składaniu kwartetów, lub orkiestry, można sobie dobrać dobrych skrzypków, dobrych puzonistów, dobrych klarynecistów i wogóle kapelistów wszelkiej kategoryi — to najtrudniej jednak o dobrego wiolonczelistę. — W Krakowie nie słyszeliśmy już dawno wiolonczelisty, któryby w równej mierze nietylko zainteresował, lecz także poruszył, a nawet porwał wymagającą i tak trudną do zdobycia, bo zawsze „krytykująca“ krakowską publiczność. — Artystą, który tej sztuki dokazał — był właśnie wiolonczelista Jacques van Lier. Usłyszeliśmy go w minionym sezonie przy sposobności pobytu u nas słynnego kwartetu holenderskiego. Gorące przyjęcie, jakiego doznał ze strony rozentuzyazmowanych i porwanych swą grą słuchaczy, zachęciło młodego artystę do wystąpienia w Krakowie z własnym koncertem.


Jacques van Lier.

Sympatyczny i niepospolity ten artysta, Holender z pochodzenia (ur. w Haadze 26/4 1875 r.), rozpoczął karyerę koncertową bardzo wcześnie, bo już w dziesiątym roku życia, wystąpiwszy na kilku produkcyach w rodzinnem mieście. Poznano się wówczas na wybitnych zdolnościach malca i oddano go na porządną naukę do królewskiej szkoły muzycznej w Haadze. Po roku jednak nauki, wyjeżdża mały Jacques do Rotterdamu, aby tu u znakomitego maestra wioloczelli, Oskara Eborle, szukać nauki, rad i wskazówek. Po czteroletnich studyach, ukończonych z najwyższymi nagrodami i odznaczeniami, przyjmuje stanowisko solisty w amsterdamskiej „Palaslorehesber“ i rozpoczyna pracę wirtuozowską. Kilka szczęśliwych tournée po Niemczech i Holandyi, zwróciło nań uwagę świata muzycznego, a szczególnie berlińskiego—gdzie w konserwatoryum Klingwort-Scharwenki, obejmuje stanowisko profesora najwyższego kursu gry wiolonczelowej, a nadto obowiązki koncertmistrza filharmonicznej orkiestry. Po krótkim pobycie w Berlinie, wyjeżdża do Paryża, po czem organizuje słynne trio holenderskie, które po kilku latach chlubnej pracy artystycznej, zamienia się na kwartet i zbiera laury i... złoto w całej Europie. Dziś, krytyka europejska nie waha się uważać van Liera za najtęższego violonczelistę i za jednego z najznakomitszych artystów-wirtuozów, tem więcej, że van Lier poza tem jest niepoślednim kompozytorem, a dzieła jego zarówno oryginalne, jak i transkrypcye, dobiegają już setki.

—urs.—

We własnej sieci.

Współczesna powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył M. S.

21 (Ciąg dalszy).

Zrazu nic nie mówili do siebie. Cezar widocznie pierwszy nie chciał zaczynać rozmowy, nie chciał być natrętnym, a nawet wcisnął się w sam kąt powozu, tak, jakby nie chciał zwracać uwagi Heleny na siebie. Usposobiło to dobrze młodą dziewczynę dla niego, ale nie skłoniło jej do rozmowy i dopiero, gdy zauważyła, że powóz skręcił w jakieś wąskie, ciemne, nieznane jej całkiem uliczki, odezwała się do kuzyna cokolwiek trwożliwie:

— Dokąd że ty mnie wieziesz, Cezarze?!...

— Do dzielnych i uczciwych ludzi, Heleno! — odpowiedział zapytany. — Wprawdzie nie należą oni do naszej sfery, wprawdzie są niewykształceni, ale u nich będziesz bezpieczną przed pościgiem, a przytem krótko tam przecie zabawisz!...

— A kiedy odwieziesz mnie do Hamburga?

— No... gdzieś w tych dniach. Najbliższy okręt odchodzi do New-Yorku za cztery dni, jest więc czas i kupić kartę jazdy i przyjechać na czas do Hamburga

— Tak! ale jak stryj i opiekun wyśledzą mnie i w ostatniej chwili siłą przeszkodzą mej dalszej podróży?!

— To już moja sprawa! to ja będę się starać, aby nie zaszedł nigdy podobny wypadek. Po prostu ty napiszesz do któregoś z nich list i skierujemy ich pogoń na fałszywą drogę. Ale swoją drogą przez ten czas, zanim wyruszymy do Hamburga, musisz się dobrze ukrywać!...

— Tak! ale to jest doprawdy nie do zniesienia, że trzeba dopiero uciekać się do kłamstwa i fałszerstwa, aby się ukryć! Przecież może, widząc moją stanowczość, sami pozwolą mi wyjechać, gdy ich szczerze o to poproszę i nie będą mieli nic przeciwko temu?!

— O tem nie myśl nawet, Heleno! Widocznie nie znasz doktora Harrasa, skoro przypuszczasz, że on odstąpi od raz powziętego zdania! Przeciwnie, on wytęży wszystkie siły, aby dostać cię znów w swoje ręce i tylko podstęp, chytrość z naszej strony może pokrzyżować jego plany i obliczenia. Niech to cię jednak nie przestrasza, droga kuzynko! Ja w ciągu ostatnich dni doskonale rozważyłem wszystko i ułożyłem plan tej ucieczki wybornie i jeśli tylko przez parę dni zechcesz się do moich rad zastosować, to mogę ci przysięgą zaręczyć, że za trzy tygodnie napiszesz mi już parę słów pozdrowienia z wolnej ziemi amerykańskiej.

Słowa te, wypowiedziane z całą siłą głębokiego przekonania i młodzieńczym zapałem, podziałały na Helenę. Uwierzyła zupełnie zapewnieniom Cezara i w duszy postanowiła sobie spełniać wszystkie jego wskazówki, byle tylko osiągnąć pożądaną swobodę, a nawet teraz czuła się w obowiązku wyrazić swą wdzięczność. Ale Cezar nie pozwolił jej nawet mówić o tem. Oświadczył, że spełnia swój obowiązek, jeśli stara się naprawić to, co złego ojciec jego wyrządził Helenie.

W tej chwili powóz zatrzymał się przed małym jednopiętrowym domkiem na odległem przedmieściu. W parterze widocznie mieścił się wyszynk, bo świadczyła o tem różnokolorowa lampa gazowa, zwieszająca się ponad bramą. Woźnica strzelił trzy razy z bata i na ten sygnał wyszła przed dom brudna, obszarpana dziewka z ordynarną twarzą, która, skłoniwszy się niezgrabnie, wzięła z kozła walizkę Heleny. Cezar rzucił woźnicy złotą monetę i podał ramię kuzynce. Ona zawahała się chwilę, ale młodzieniec szepnął jej, że tu ją wezmą za jego siostrę, gdyż w tym charakterze z góry ją przedstawił. Dodał przy tem, że muszą być ze sobą na bardziej poufałej stopie, jeśli obcy mają temu uwierzyć.

Helena nie opierała się więcej i powoli prowadzona przez Cezara weszła na piąterko, gdzie dziewczyna wprowadziła ich do brudnej, małej izdebki i zapaliwszy świecę, stojącą w lichtarzu na stole, sama znikła czemprędzej. Nikt więcej nie pokazał się i to wzbudziło w Helenie jakieś podejrzenie, ale Cezar był sprytny i dobrze przygotowany do swojej roli, więc też prędko zdołał uspokoić obawy biednej, wydanej na jego łup sieroty...

Podle zdradzona!

Z ciężkiem sercem, wbrew własnym uczuciom godności ludzkiej, pisała Helena list do swego opiekuna, który dyktował jej Cezar. Był to krótki list następującej treści:

„Szanowny panie doktorze! Jeśli się zdecydowałam opuścić dom mojego stryja i nasze miasto, to tylko dlatego, że poszłam za głosem serca, z którym dłużej walczyć, któremu oprzeć się nie byłam dalej w stanie. Mój kuzyn Cezar, który mi towarzyszy, niebawem wytłómaczy panu dokładnie powody, skłaniające mnie do tego kroku i mam nadzieję, że wówczas tak pan, jak i stryj, przebaczycie mi to, co prawdopodobnie nazwiecie lekkomyślnością. Proszę też was obu, nie ścigajcie nas, co raz się już stało, odstać się nie może i nawet powrót mój do domu mego stryja niczego nie zmieni!

Pańska pupilka

Helena Springer“.

Zaledwie Cezar wyszedł z tym listem, ukazała się w pokoju gospodyni i właścicielka tego domu, aby dowiedzieć się, czy goście czegoś nie potrzebują. Gospodyni była tak samo brudna i obdarta, jak służąca i miała taki sam trywialny wyraz twarzy a przytem odzywała się do Heleny z taką szorstką poufałością, że graniczyło to niemal wprost z obrazą. Dlatego też sierota podziękowała jej za kolacyę i poprosiła o szklankę wina i kawałek świeżego chleba, gdyż cały dzień nic w ustach nie miała.

Gospodyni popatrzyła na nią z dziwnym jakimś grymasem i zapytała, czy dla Cezara ma pościelić w tym samym pokoju, a gdy Helena z oburzeniem odpowiedziała: „Nie! nigdy!“ gospodyni uśmiechnęła się z tajoną złośliwością:

— No, no! niech się pani nie gniewa! Przecież to brat pani, a rodzeństwo może chyba bez obawy spać w jednym pokoju!...

Rumieniec okrył lica Heleny, a gospodyni z głośnym śmiechem odeszła i w parę minut później posłała jej przez służącą chleb i wino. Dziewczę zmusiło się, aby przełknąć ten posiłek, poczem zamknęła drzwi na klucz i zasuwkę, a dla pewności zabarykadowała je jeszcze stołem i w sukni ułożyła się do snu.

Zmęczenie i tyle przejść ostatnich dni zrobiły swoje. Helena usnęła odrazu i obudziła się dopiero nazajutrz koło dziesiątej rano.

Zaledwie zdołała umyć się i poprawić na sobie toaletę, zjawił się Cezar. Kuzyn powitał ją grzecznie, ale twarz jego była chmurna i miała wyraz wielkiej powagi. Oświadczył też jej, że parę dni będzie musiała przebyć w tej kryjówce, bo doktor powiedział, że niebo i ziemię poruszy, ale musi dostać ją w swoje ręce.

— Zrazu — mówił Cezar — chciałem wprost stąd odwieźć cię, Heleno, do Hamburga, ale widzę teraz, że to się nie da! Będziemy musieli, moja droga, nałożyć trochę drogi i ruszyć wprost w przeciwnym kierunku, a potem dopiero, gdy się już wszystko uspokoi, ruszymy... najlepiej do Bremy! By zaś ich całkiem w błąd wprowadzić, wysiądziemy sobie na którejś stacyi, przenocujemy w hotelu, naturalnie pod fałszywem nazwiskiem jako małżonkowie, a potem, no potem... historya będzie skończona!...

(Ciąg dalszy nastąpi).

TEATRU

„Bagienko“,

komedya w trzech aktach Bolesława Gorczyńskiego. (Premiera z dnia 17 października).

Tak samo jak w beletrystyce wytworzył się osobny dział powieści tak zwanej „kolejowej“, powstał i w twórczości scenicznej ten podrzędny rodzaj sztuk, osnutych na tematach przeważnie wymyślonych, wykombinowanych, sztucznie zestawianych, albo co najwyżej na epizodach, przeżytych w przelocie przez samych autorów. Ta ostatnia okoliczność bywa o tyle niebezpieczna, że często autorowi wydaje się, iż podobnego wydarzenia nigdy jeszcze nie było na świecie i że wskutek tego nadaje się ono znakomicie do okazania go zdumiałej publiczności.

Jeden ze sprawozdawców teatralnych krakowskich zarzucił autorowi „Bagienka“ reminiscencye literackie i dosłuchał się w „Bagienku“ przypomnienia „Damy kameliowej“. Sądzę, że zarzut ten nie jest słuszny. Genezy „Bagienka“ należy, mojem zdaniem, szukać właśnie w pewnego rodzaju ignorancyi literackiej, połączonej z brakiem życiowego doświadczenia. Prócz tego brak także autorowi szerszego poglądu na rzeczy, a wskutek tego wydaje mu się, że temat „Bagienka“ jest bądź objawem jakiegoś zasadniczego rysu psychologicznego kobiecej natury, bądź też typowym objawem społeczno-etycznym.

Tymczasem tak nie jest. W tym wypadku mamy do czynienia z jednem wydarzeniem możliwem a może wymyślonem — ot, z nowelką „kolejową“ której temat o tyle tylko interesuje, o ile służy do zabicia czasu. Sądzę jednak, że na temat do sztuki, traktowanej poważnie, problemowo, mającej pretensye do stawiania zagadnienia, historya z „Bagienka“ się nie nadaje.

Treść sztuki jest następująca:

Helena Wojniczek została niegdyś uwiedzioną przez uwodziciela pospolitego, jakich setki krąży po brukach wielkich i małych miast. Po kilku miesiącach „nastrojów“ skończyła się ta powszednia i płytka awanturka uwodziciela, a dziewczyna, jak to mówią — puściła się. Odtąd zaczęło się jej życie w bagienku, dopóki nie trafiła na „głupiego“ który się w niej „zakochał“ (ach!) i oczywiście zaczął szlachetnie prostować ścieżki panny Heleny. Grunt był bardzo podatny, panna Helena ogromnie przejmowała się głoszonemi zasadami rozkochanego swego rycerza, co jej jednak nie przeszkadzało żyć w ciągłej tęsknocie za.... tym pierwszym. Pan Gorczyński, autor sztuki, chciał widocznie przez to ogłosić światu dogmat, że dla uwiedzionej kobiety najdroższym zawsze jest i będzie pierwszy uwodziciel. O słuszności tej tezy nie mam zamiaru sprzeczać się z autorem. Jeżeli tak jest, to bardzo smutno i ci „drudzy“ są istotnie pożałowania godni. W gruncie rzeczy jednak kwestya ta jest obojętną dla życia, dla uwodzicieli i uwiedzionej oraz dla tych, którzy chcą być apostołami poprawy, jak bohater w „Bagienku“, zakochany pan Stefan. Gdy bowiem przeszłości wrócić nie można — trzeba się z nią zgodzić, a może odszkodować się w taki sam sposób... Rzecz zapatrywania i smaku...

Otóż tedy panna Helena, która miała ogromną cześć, szacunek i t. d. dla swojego kochanka, nie miała dla niego miłości. Wystarczyło pojawienie się uwodziciela, aby odżyły w niej wspomnienia pierwszych uniesień z całą siłą i aby.... poszła znowu za nim do „bagienka“. Okropność!.... Kochanek desperuje, aż się serce kraje, zamiast obrócić się na pięcie i wyjść drugiemi drzwiami.... Nie pojmuję bowiem afektu w takich warunkach, a ręczę, że i sam p. Gorczyński w coś podobnego nie wierzy... Chyba, że wychodzi ze założenia, że tak kochają, alo takiej tacy wzruszająco naiwni, dobrzy chłopcy, jak „bohater“ jego sztuki.

Ani losy panny Heleny Wojniczkówny, ani boleści jej tak bardzo przez nią „szanowanego“ kochanka, nie przerażają nas taksamo, jak nie budzi w nas żółtej zazdrości łatwe zwycięstwo uwodziciela pospolitego.

Sztuka graną była bardzo dobrze i tej grze tylko zawdzięczać może autor, że publiczność zachowywała się „poważnie“ wobec tego dzieła. Prym oczywiście wiodła wspaniałą i sumienną grą p. Ordon-Sosnowska. Reszta ról, konwencyonalnie lub naśladowniczo zestawionych, spoczywała w ręku pp. Kosińskiego, Zelwerowicza, Sobiesława i Jednowskiego. Czynili co mogli, żeby z papieru wydobyć ludzi. P. Leszczyński wyszedł bardzo dobrze ze swej roli, zresztą bardzo wdzięcznej więc i łatwej.

Robota sceniczna sztuki jest zręczna i świadczy o tem, że autor lepiej niż tematami i typami, włada techniką teatralną.

Teatr był słabo wypełniony. *Oświk.*

LUDWIK STASIAK.

Domejko i Dowejko.

HUMORESKA.

Dom kupił mi adwokat. Jest wreszcie cicbe i spokojne gniazdko dla mnie i dla przyszłej mojej żony. Cisza! Oh! Jakże ja lubię ciszę. Dobrze, że w zakupnie inni mię wyręczyli. Bo te nerwy... Na szczęście osiedlając się w prowincyonalnem mieście, przyszedłem do gotowego: urządzenia domu, wyszukania ogrodu podjęli się dobrzy ludzie i poczciwi znajomi. Mnie jedno pozostało: po przybyciu na drzwiach wchodowych przybiłem moją mosiężną tabliczkę: Józef Müller, obywatel. — No i raz wreszcie jestem na swoich własnych śmieciach.

Przedewszystkiem trzeba napisać list do niej... i do adwokata. Co pierwej? Serce by rade do niej, a jednak... To trudno... Najpierw trzeba pisać do adwokata. Należy mu podziękować za zręczne a prawie bezinteresowne kierownictwo mych spraw. Usiadłem przy biurku, zacząłem pisać: „Szanowny Panie!“ gdy ktoś zapukał drzwi. Wszedł człowiek o cerze żółtej, o włosach ryżawych. W ręku miał wytartą na rogach tekę ceratową. Zauważyłem, że w przedniej szczęce brak mu dwóch zębów. Jegomość ten przy drzwiach zaczął się śmiać. Śmiejąc się szedł ku mnie. Wziął sobie sam krzesło, usiadł i śmiał się ciągle. Potem jął mrużyć jedno oko. Robił taki gest twarzy, jak urwisz, który chce drugiemu pokazać figę. Patrzyłem się na maniery mego gościa wytrzeszczonemi oczami. Nigdy jak żyję tego człowieka nie widziałem. Przerwałem mu ciągłe i ciągłe, bezczelne wykrzywianie się, połączone ze śmiechem i mrużeniem oka:

— Czego pan sobie życzysz?

Znowu się zaśmiał, znowu zmrużył oko i rzekł:

— Nie udało się.

— Co się nie udało?

— Kawał się nie udał. Teraz mój panie są czasy realne, kawały takie jak pański zupełnie się nie udają.

— Jakie kawały?

— No, proszę nie udawać głupiego.

Krew we mnie zawrzała. Mówię z pasyą:

— Mój panie! Wypraszam sobie tego rodzaju uwagi. Ja wcale nie udaję głupiego, ale w istocie jestem... to jest — proszę — ja chciałem powiedzieć, że... wzywam pana o objaśnienie mnie z czem przychodzisz i czego sobie życzysz?!

Gość mój milczał minutę całą, potem zaśmiał się, potem mrugnął okiem. Potem znowu spoważniał i rzekł:

— Proszę pana, ja strasznie nie lubię komedyi.

— O jakiej komedyi pan mówisz?

— No o kawałach, które pan urządza.

— Czego pan u dyabła chcesz?

— Czego chcę? Ja to zaraz panu powiem. Pan się nazywasz Józef Müller, obywatel.

— Tak jest, panie.

— Niedawno pan do tego miasta przybyłeś?

— Dziś! Dziś.

— Dziś?! Doskonale. Jesteśmy już w domu. Cieszę się, że pan przynajmniej nazwiska się swego nie zapierasz. Boć pan wie, co robili dawni adwokaci. Mój dawny szef, Wykrętkiewicz — Panie świeć nad jego duszą — dziwaczył. Przeciwnik skarży naprzykład słowami: „dnia 12 października o wschodzie słońca przyszedł do mnie oskarżony...“ to Wykrętkiewicz replikuje: „Przeczy się, jakoby oskarżony przyszedł, przeczy się, jakoby oskarżony istniał, przeczy się, jakoby się to stało 12 października, przeczy się, jakoby to było o wschodzie słońca, przeczy się, jakoby w tym dniu słońce wschodziło, przeczy się, jakoby słońce istniało!“ A przeciwnik musiał mu na dwóch terminach dowodzić, że oskarżony istnieje, że październik istnieje, że słońce istnieje. Raz szef mój, mecenas Wykrętkiewicz — Panie świeć nad jego duszą — mówi:

(Ciąg dalszy nastąpi).

Rozwiązania z Nru 41.

Rebus: „Przewaga rozsądku nad namietnością, przynosi każdemu zaszczyt“.

Szarady: Wycieczka. — Zaimek.

Arytmogryf.

W
L **I** S
H U **C** U Ł
Z A L **E** S K I
B A Ł A **K** Ł A W A
K O N I K I P O L N E
P R Z E **W** O R S K
K A R **A** B I N
W A **C** E K
J **E** Ź
K

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: Wł. Hałdziński Lichwin, M. Opolska Czarny Dunajec, T. Domain Sanok, K. Fuchs Peczeniżyn, L. Chodkiewicz Zbydniów, St. Marul Krosno, Fr. Josefort Kraków, St. Bassara Niwiska, H. Mokrzycka Turbia, T. Wasiewiczowa Baranów, A. Skulski Lwów, D. Orłowski Stanisławów, J. Biegoń Ślemień, H Zielińska Manajów, M. Różański Gorlice, J. Duszyński Niepołomice.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. A. Skulski we Lwowie. Prosimy o nadesłanie 50 hal. na koszta przesyłki.

Zagadki do nagrody.

Arytmogryf kryształowy.

W niżej podanych kombinacyach zastąpić liczby literami tak, aby w trzynastu utworzonych wyrazach, środkowe litery, czytane w pionowym kierunku od góry do dołu, utworzyły nazwisko współczesnego powieściopisarza. Środkowe zaś litery, czytane w poziomym kierunku, mają utworzyć tytuł utworu tegoż pisarza.

Kombinacye:

19
4 **10** 12
17 4 **20** 7 10
9 10 4 **7** 3 12 14
19 10 4 20 **16** 13 14 4 10
5 9 3 11 14 **7** 14 8 15 7 12
1 20 13 4 15 13 11 20 12 14 12 3 12
19 9 18 13 11 **20** 7 3 4 18 4
19 10 9 14 **4** 5 15 7 12
11 20 4 **17** 13 9 14
10 9 **11** 2 6
9 **5** 9
13

Znaczenie wyrazów:

1. Spółgłoska. 2. Okres czasu. 3. Tytuł turecki, 4. Właściciel majątku na pewnych warunkach. 5. Nazwa w hierarchii kościelnej. 6. Nadanie praw. 7. Wyrazy szukane. 8. Pajace. 9. Poparcie. 10 Rodzaj tkaniny. 11. Potrawa. 12. Część ciała. 13 Samogłoska.

Szarady.

Ułożyła H. z Turbii.

I.

Na lądzie i wodzie i po całym świecie
I w skale wykute, bywa *drugie trzecie*,
A *pierwsze* gdy rzuci kobieta na Ciebie,
Oprócz niej nie widzisz nic w około siebie.
Czwarta zaś sama w sporcie jest zbyt znana.
Całość nazwisko zbyt znanego pana.

II.

Ułożył K. Chodkiewicz.

Że *pierwsza* z *trzecią* w wielkiej pieczy
U pań bywa — nikt nie przeczy —
Zaś *drugie*, to zaimek pytający, znany
I w mowie często używany,
Trzecie z pierwszą bawią oko
Gdy wybiegłszy hen, wysoko
Sieją światła kolorowe,
Piękne, zmienne i tęczowe!
Całość nad Zbruczem miasto położone,
Pod którem polski pewien hetman stary
Oddał swe życie — niosąc go w obronę
Dla naszej drogiej ojczyzny i wiary!

Kryptogryf literacki.

Tetmajer
Dygasiński
Zapolska
Zacharyasiewicz
Gliński
Krechowiecki
Prus
Orzeszkowa
Rodziewiczówna
Sienkiewicz
Kosiakiewicz
Kowerska
Chmielowski
Junosza
Reymont
Łoś

Obok przytoczonych nazwisk autorów, wypisać po jednym tytule ich utworów w ten sposób, aby początkowe litery tych utworów, czytane z góry na dół, utworzyły imię i nazwisko współczesnego powieściopisarza polskiego.

Za dobre rozwiązania wszystkich powyższych, przeznaczamy **„wspaniałą bombonierkę czekoladek“.**

Prosimy wszystkich naszych Pp. Czytelników, aby nadsyłali szczegółowe rozwiązania, gdyż tylko takie uważać będziemy jako trafnie odgadnięte.

Za 50 koron

przyjmujemy ograniczoną ilość włościan do podróży z Roterdamu, Antwerpii lub Havru

do Ameryki południowej

Kto chce skorzystać ze sposobności, która się już może nigdy nie zdarzy, a która nie nakłada żadnych obowiązków, niechaj się zwróci do:

ATLANTIC EXPRESS

12, Duke Street, Aldgate London E. C.

Prawdziwe, przez zastępcę rządu zbadane, informacye o stosunkach pracy, klimacie i t. p. zostają bezpłatnie udzielane.

Rzadka okazya!

MASZYNA Do SZYCIA

SYSTEMU „SINGERA“

mało używana, w bardzo dobrym stanie, **tanio do sprzedania.**

Oglądać można codziennie od godz. 4 do 5 popołudniu przy ul. Zacisze l. 5, II. p. „Pension nouvelle“.



Proszę żądać

darmo i opłatnie mój bogato ilustr. cennik, zawierający 1000 rysunków dobrych i tanich zegarków, przedmiotów złotych i srebrnych

HANNS KONRAD

PIERWSZA FABRYKA ZEGARKOW

w BRÜX Nr. 786 (Czechy).

Prawdziwy niklowy zegarek anker rem. syst. Roskopf patent w skórkow. futerale wraz z łańcuszkiem złr. 2·50. Nikl. budzik złr. 1·50, 3 szt. złr. 4. Żadne ryzyko. Zmiana dozwolona lub pieniądze z powrotem.

REUMATYZM

osłabienie nerwów, gościec, nerwobóle, ból głowy, ból zębów i t. d.

usuwa oczęstokroć po kilkakrotnem użyciu:

Prawnie chroniony! Klinicznie wypróbowany!

„ICHTYOMENTHOL“

WYROBU APTEKARZA EDELMANA.

Tysiące listów dziękczynnych! Tysiące poleceń ze strony pp. Lekarzy, klinik i szpitali powszechnych, świadczą najwymowniej o wartości leczniczej tego środka.

„Ichtyomenthol“ z powodu swych cennych własności, poleca się P. T. Panom cyklistom, gimnastykom, turystom, wojskowym itd., jako nacieranie zapobiegawcze, orzeźwiające i wzmacniające.

„Ichtyomenthol“ wszędzie do nabycia!

Główny skład wysyłkowy: **Laboratoryum aptekarza Edelmana w Bohorodczanach.**

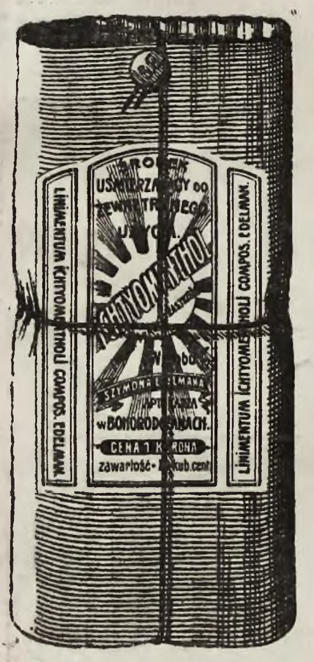
Cena flaszki z opisem użycia **1 korona.**

Pocztą wysyła się odwrotnie najmniej dwie flaszki.

Ostrzeżenie!! Wielki popyt i powodzenie mego środka spowodowały nieuczciwą konkurencyę do podrabiania mego, przez Wys. c. k. Ministerstwo i urząd patentowy, chronionego „Ichtyomentholu!“ Ostrzegam przeto przed tego rodzaju falsyfikatami lub środkami zastępczymi jako lichemi mieszaninami i upraszam P. T. Publiczność, aby we własnym interesie wyraźnie żądała „Ichtyomentholu“ Edelmana w oryginalnem opakowaniu.



Flaszka oryginalna.



Flaszka w opakowaniu oryginalnem.

Byłem łysy.

John Craven Burleigh, pewien kupiec londyński pisze: **Jeszcze przed kilku laty była moja czaszka całkiem łysa.** Mój ojciec i dziadek byli łysi. Włosy mojej matki były z przyrody nadzwyczaj cienkie. Już byłem się oswoił z tą myślą, że zostanę łysym, aż dopóki pewnego dnia podczas wycieczki do Szwajcaryi nie poznałem się z pewnym uczonym panem w starszym wieku, który mię w ciągu rozmowy wprost zapytał, czy nie życzyłbym sobie posiadać bujny zarost włosów.



Nadzwyczaj zaciekawiony dałem całkiem naturalnie potwierdzającą odpowiedź. Wtedy opowiedział on mi, że przez całe swe życie zajmował się chemią, a w szczególności chorobami włosów. Dla potwierdzenia swych słów, zanotował on mi pewną formułę i polecił mi najusilniej preparat kazać sporządzić. Przyjechawszy do Genewy nie zaniechałem to wykonać i używałem preparatu przez krótki czas. Po trzech tygodniach poczęły się włosy odnawiać, a po **czterdziestu dniach** była moja czaszka włosami całkiem pokryta. Część pomady dałem dwom przyjaciołom; jedną część pewnej damie, której włosy prawie zupełnie były wypadły. — **Rezultat był w obu wypadkach zdumiewający.** Od tej pory, otrzymawszy wpierw od uczonego, który to odkrycie uczynił, pozwolenie, sprzedaję ten środek kosmetyczny. Jestem w przyjemnem położeniu, setki równych przykładów silnego działania u osób obojga płci dowieść. Nie jest to żaden środek tajemniczy. Gwarantuję, że nie zawiera żadnych składników zdrowiu lub skórze szkodliwych.

Aby się jednak Pan mógł przekonać o prawdziwości tego środka będzie Panu na życzenie wysłaną bezpłatna próbka, Po tem zaś, gdy Pan znajdzie, że pańskie włosy zaczynają rosnąć, może Pan nabyć dalszą ilość za cenę umiarkowaną u pana Wiliama Scotta we Wiedniu, który ma monopol sprzedaży dla Austro-Węgier.

Próbka bezpłatnie. Każdemu czytelnikowi, który mi powołuje się na tę gazetę przyszle swój adres na korespondentce wyraźnie napisany, przyszlę próbkę bezwarunkowo bezpłatnie. Należy adresować.

WILLIAM SCOTT

Wiedeń, I./870 Franz Josefs-Kai 19.

GUSTAW GOLDSTEIN

◎◎ handel korzenny, delikatesów i restauracya ◎◎

W KRAKOWIE, UL. KARMELICKA L. 4.

Donosi uprzejmie, że odtąd zamiast piwa Pilzneńskiego prowadzić będzie zaszczytnie znane ze swej dobroci

Piwo Cesarskie à la Pilzneńskie,

Piwo Granat à la Kulmbachowskie

z browaru J. eksc. hr. Larisch'a Mönnicha

W KARWINIE

przytem poleca wielki wybór **win i wódek** krajowych i zagranicznych.

Kuchnia wyborna ═══ Abonamenta pod najprzystępniejszymi warunkami.

Codziennie koncert doborowej orkiestry.

M. Beyer i Spółka, Kraków, Sukiennice Nr. 12—14.

Główny skład bielizny damskiej, męskiej i dziecinnej.

Płócien i bielizny stołowej. Całe wyprawy ślubne, od najskromniejszych do najozdobniejszych są na składzie. Wyłączny skład bielizny normalnej, trykotowej Prof. Dra Gustawa Jaegera, oraz wszelkich wyborów trykotowych, jedwabnych, wełnianych i bawełnianych, dla pań, panów i dzieci.

Zamówienia zamiejscowe uskutecznia się odwrotną pocztą.

Pierwszy Galic. Zoologiczny Zakład „Ornis“



Właściciel: A. MUSIOŁEK
założony w roku 1897.
Sklep: Kraków, ul. Sławkowska 16.
Hodowla i skład zwierząt: Zwierzyniec „Willa Wisła“. Menażerya i własny park zwierząt w „Parku Krakowskim“ poleca się nadal Szan. PT. Publ.

Cenniki bezpłatnie za nadesł. 5 hal. marki. Młode Bernhardy od 20 zł. Foxterriery, Jamniki, różne rasowe kury, angora koty, kolibry, papugi, harceńskie kanarki, złote rybki, oswojone małpki i t. d. — Bardzo tanio wypycha się ptaki i zwierzęta.

Uwaga: Około 20-to letnie praktyczne doświadczenia, jakoteż dokładna znajomość fachowa, nabyta w kraju i zagranicą, dają mi możność uskutecznienia starannego, wszelkich poleceń w zakres hodowli i sprzedaży zwierząt wchodzących, po najniższych cenach jak dotąd tak i nadal.

Darmo i opłatnie otrzyma każdy mój bogato



illustrowany cennik
Instrumentów muzycznych
oraz różnych
ZABAWEK



A. Scheuer, Kraków
ulica Grodzka l. 59/5. 7-52



Spłaty cześciowe!

dozwolone za poprzedniem ustnem lub listownem porozumieniem się.

Bezsprzecznie największy wybór!

Renomowana i powszechnie znana firma

Dom towarowy „AU LOUVRE“
we Lwowie, ul. Sykstuska l. 6 (Pasaż Hausmana)

poleca swój obfity i bogato zaopatrzony skład wszelkich możliwych gatunków dywanów (także kościelnych i przed ołtarze) dywaników, portyer, firanek, chodników, kap na stoły i łóżka, cerat, linoleum, kołder, koców, der na konie oraz wszystkich innych przedmiotów dekoracyjnych po nader niskich cenach konkurencyjnych.

Za nadesłaniem nam marki pocztowej za 10 h. wysyłamy nasze bogato illustrowane cenniki, w których są opisane także towary lniane i bawełniane, bielizna męska i damska szyfony, płótna, bielizna stołowa i inne ważne artykuły. w zakres domowego gospodarstwa wchodzące. Zlecenia z prowincyi załatwia się odwrotnie.

By ujść pomyłkom, prosimy na nasz adres dokładnie zważać.

Z poważaniem Zarząd firmy:

Dom towarowy „Au Louvre“
Lwów, Sykstuska 6.

Rządowo uprawniona

FABRYKA WÓD MINERALNYCH SZTUCZ.
i specyalnych leczniczych, pod firmą
K. RZĄCA I CHMURSKI
w Krakowie, przy ulicy św. Gertrudy l. 4, Telefon 227.

Wyrabia pod kontrolą komisyi Przemysłowej Tow. Lek. krak. polecone przez toż Towarzystwo Wody Mineralne, odpowiadające składem chemicznym wodom: Bilińskiej, Gieshueblerskiej, Selterskiej, Vichy, Maryenbadzkiej, Homburg, Kissingen, tudzież specyalne lecznicze, jak: litową, bromową, jodową, żelazistą, kwaśną oraz wody mineralne normalne z przepisu prof. Jaworskiego. — Sprzedaż cząstkowa w aptekach i drogueryach. Cenniki na żądanie franco.

Fabryka wyrobów wełnianych w Kętach, założona 1867 r.

Firmy: F. & E. Zajączek i Lankosz

poleca: **sukna, sieraczki**, najmodniejsze **kamgarny i korty** wyrobu własnego oraz oryginalne angielskie. **koce, derki, filce dywanowe, flanele wstąpione, wełnę** do watowania i wszelkie **podszewki.**

Składy: we **Lwowie**, ulica Teatralna l. 3, w **Krakowie**. Rynek gł. 44, linia A-B dla sprzedaży hurtownej i drobiazgowej.



URZĄDZAM
Dzwonki elektryczne i telefony

z gwarancyą roczną
po bardzo niskiej cenie
pracownia mechaniczna
Stanisława Leśniakowskiego
ul. Grodzka l. 48, obok kościoła św. Piotra.

BIURO NAUCZYCIELSKIE
Stefanii Łapszów
z Trembeckich Zwilling
Kraków, ul. św. Jana l. 2
róg Rynku Głównego
poleca:
Nauczycielki, Guwernantki, Nauczycieli, Guwernerów oraz Wychowawczynie i Bony różnej narodowości.

UNIWERSALNY
ORGAN INFORMACYJNY
„Informator“
Kraków, ul. Szpitalna 34
poleca:
Wykazy wolnych posad i zajęć.
Wykazy majątków ziemsk. i realności celem sprzedaży kupna i dzierżawy
Wykazy wolnych mieszkań i lokali do wynajęcia, tudzież
Wykazy letnich mieszkań.

Prenumerata wynosi: roczuie 12 K półr. 6 K kwart. 3 K. Pojedynczy numer 50 hal.

Zgłoszenia wolnych posad i zajęć przyjmuje redakcya bezpłatnie i z wdzięcznością.

Jak **ZA DARMO**

zegarek nikl. z napisem system Roskopf Patent z pięknym łańcuszkiem złr. 1·70, zegarek stalowy złr. 2·—, zegarek srebrny system Roskopf Patent złr. 4·—, zegarek złocony system Roskopf Patent złr. 3·50. Budzik świecący w nocy złr. 1·50. Zegarek złoty złr. 9·—. Łańcuszki srebrne od złr. 1·—. Gwarancya 4-letnia. Wrazie niespodobania się, wymieniam bez trudności na inny przedmiot. Zamówienia z prowincyi uskuteczniam odwrotną pocztą.

S. Zahn, Kraków, Floryańska 31.
Dostawca związku ck. urzędnik. państwow.



Na żądanie wysyłam **wielki CENNIK illustrow. zegarów**, wyrobów jubilerskich z chińskiego srebra i t. p.

F. Pamm, Kraków
ul. Zielona 3, II. p:

Aparaty fotograficzne, zawsze świeże klisze, papiery oraz wszelkie inne przybory fotograficzne poleca po cenach nader niskich

Niemetz i Sp.
w Krakowie, Szewska l. 2 pierwszy dom od rynku.

Wdowa

po Leonie Wieczorkowskim zawiadamia Szanowną P. T. Publiczność, iż będzie nadal prowadziła pracownię tapicerską wraz z synem,
ul. Mikołajska l. 16
N. WIECZORKOWSKA.

Lodownie pokojowe,
Lodownice amerykańskie,
Formy na lody,
Siatki druciane od much,
Żelazka do prasow. na spirytus
poleca
Tom. Górecki, Kraków.

Nakładem Wydawn. Salonu Malarzy polskich wyszedł
Cykl historycznych obrazów na pocztówkach
Floryana Cynka, prof. Akad. sztuk pięknych w Krakowie.
Cena Kor. 1·—
Za nadesłan. K 1·20 wysyła franko
Henryk Frist, Kraków
Floryańska l. 37.

SKŁAD MASZYN DO SZYCIA
I WARSZTAT NAPRAWY IGNACEGO GROSSA
POD KIEROWNICTWEM:
JANA POJEGO, mechanika specyalisty
W KRAKOWIE, UL. STAROWIŚLNA 1
(NAPRZECIW GŁ. POCZTY).

Wykonuje szybko, dokładnie i gruntownie naprawy maszyn do szycia wszelkich konstrukcyi. Sprzedaje maszyny używane w znakomitym stanie, jakoteż części składowe najlepszego gatunku do wszelkich systemów maszyn do szycia.

Zamówienia z prowincyi załatwia się odwrotną pocztą. Wszelkie naprawy mogą być uskutecznione w przeciągu 48 godzin.

CENY UMIARKOWANE.

INSTALACYE i BLACHARSTWO
wodociągi, ogrzewania, gazowe oświetlenia
wykonuje fachowo, praktycznie i tanio, konc. firma:
Julian Tokar, Kraków, św. Jana 10 (Grand Hotel)



Pierwszy krajowy skład
hurtowny i częściowy
gramofonów i fonografów
Józefa Wekslera
Kraków, ul. Grodzka l. 71

poleca w bardzo wielkim wyborze **Gramofony, Fonografy, płyty i walce najnowszych zdjęć.**

Ceny bardzo przystępne — Cenniki darmo i opłatnie.

Gramofon koncertowy z 10 płytami złr. 35.
Fonograf koncertowy z 5 walcami złr. 8.

Części składowe zawsze na składzie. — Reperacye wykonuje się dokładnie i szybko **po cenach umiarkowanych.** — Zamówienia z prowincyi uskutecznia się odwrotną pocztą.

Niema więcej cierpień rupturowych
dokładne i szczególne objaśnienia
(za nadesłaniem zwrotnej marki pocztowej)
przesyła bandażysta: S. Mittelmann
Czerniowce (Bukowina), ul. Pańska 19.



Kolibry . . .	od 1—2 złr.
Papużki małe	od 1·50—3 „
Papużki średnie	od 4·50—7 „
Papugi duże .	od 10—25 „
Papugi duże mówiące	od 28 „
Kanarki herceńskie	od 6 „

Rasowe psy
u K. Waltera L. 31
ulica Sławkowska
przy plantach w Krakowie.

CUKIERNIA
Kazimierz Sotschek
LWÓW
poleca się P. T. Publiczności.
Bufet w teatrze miejskim.
Wszelkie zamówienia wykonuje odwrotną pocztą.

Posiadacze losów

mogą u nas dostać za nie pełny kurs dzienny i na życzenie te same losy (tj. te same numera) grając na nie bez przerwy, nabyć na dogodne spłaty miesięczne. Losy gdziekolw. zastawione, wykupujemy i przeprowadzamy powyższą transakcyę. Polecamy uprzejmie naszą firmę do wszelkich obrotów bankowych. Kupno i sprzedaż obligacyj, losów i monet. — Ajentów żadnych nie wysyłamy. — Kalendarzyk bankowy bezpłatnie.

Schütz i Chajes, Dom bankowy
we Lwowie, plac Maryacki 7.

Odpowiedzialny redaktor: Wiktor Nimhin. Wydawca i właściciel: Stanisław Lipiński. Z drukarni Władysława Teodorczuka w Krakowie, ul. Zielona 7.
Klisze z zakładu T. Jabłońskiego i Ski w Krakowie.